

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. I. — NR. 4/5.

LIPIEC-SIERPIEŃ 1935.

JÓZEF CZECHOWICZ: NIENAZWANE — NIEJASNE
MIECZYŚLAW JASTRUN: ŚWIAT MNIE PRZERAŻAŁ
STEFAN FLUKOWSKI: WOJNA
ADAM BIELECKI: TO BĘDZIE MIEJSCE
STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: POWRÓT NA POWISŁE
MARJAN CZUCHNOWSKI: ŚMIERĆ I POWÓDŹ
STANISŁAW BĄKOWSKI: LEKKOMYŚLNY LOT
IGNACY FIK: POPRZEZ MŁODOŚĆ
STEFAN NAPIERSKI: PRZEDWIOŚNIE
ZBIGNIEW FOLEJEWSKI: MIASTO
JERZY PUTRAMENT: BAL
HILARY HOFER: RÓWNANIE
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK: PIOSENKI BEZ RYMÓW
ZBIGNIEW JASIŃSKI: GORĄCZKA
STANISŁAW JERZY LEC: NOC
STANISŁAW PIĘTAK: ZIEMIA ODPLYWA NA ZACHÓD
JERZY PIETRKIEWICZ: ZIEMIA DOBRZYŃSKA
STANISŁAW CZERNIK: CZERWONOGRÓD
ARTUR MARJA SWINARSKI: PRZEKŁADY
TADEUSZ BOCHEŃSKI: PRZEKŁADY
MIECZYŚLAW ŻYTKO: WIERSZE
STEFAN NAPIERSKI: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
MARJAN PIECHAŁ: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
JULJAN PRZYBOŚ: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
TADEUSZ PEIPER: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
STANISŁAW BĄKOWSKI: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
JÓZEF CZECHOWICZ: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
MIECZYŚLAW JASTRUN: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ
STANISŁAW CZERNIK: FANTAZJOTWÓRSTWO POETYCKIE

REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.
ADMINISTRACJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. ZAMKOWA 4.

FANTAZJOTWÓRSTWO POETYCKIE

Nie uznawane rodzaje. Autentyzm w poezji nie jest integralnym realizmem, jest raczej zasadą klasyfikacji. Autentyzm w liryce wyklucza blagierstwo i wszelkiego rodzaju efektowne „zmyślone”, wprowadza natomiast lirykę na głębiny introspekcji psychologicznej. Autentyzm w epice domaga się studjum, bezpośredniego zetknięcia się z materiałem, niemal przeżycia materiału, by mógł nastąpić wykład na zimno, z pełną odpowiedzialnością za każde słowo, jak w rozprawie naukowej. Autentyzm może być również zasadą etyczną, ale nie usuwa snobizmu. Stądne przyzwyczajenie do mody i bezmyślnego naśladownictwa może również te najstuszniejsze zasady wypaczyć do niepoznania.

Zamknięcie liryki i epiki w tak wyraźnie i niedwuznacznie określonych ramach musi wywołać dalsze następstwa. Poza temi ściśle ograniczonymi kryłkami rozprzestrzeniają się jeszcze inne rozległe wody poezji. Napewno istnieją jeszcze rodzaje: trzeci i czwarty, domagające się wyróżnienia i ściślego również odgraniczenia od poprzednich, jeżeli sprawdzianem podziału ma być treść. Niewładomo właściwie, jak nazwać te dwa rodzaje, zbliżone pozornie do siebie pewnym podobieństwem treści imaginacyjnej. Jeden z tych rodzajów, jak wynika z wywodów następnych, wypadłoby nazwać fantastyką — w znaczeniu czystym, po uwolnieniu od narostów i nawozu. Drugi — to pozorna fantastyka, mgła fantastyczna, quasi-fantastyka. Zaczniemy od tego ostatniego.

Quasi-fantastyka. Może to paradoks, jednak nie będzie w tem nadzwyczajnej przesady, gdy określimy, że cechą dzisiejszej pospolitej fantastyki poetyckiej jest ogromne ubóstwo fantazji, wynikające z operowania materiałem zastępczym. Jeżeli narzekaliśmy na nadmiar surogatu treściowego w t. zw. pospolitej liryce, to narzekania te można było osłodzić wyjątkami. Fantastyka natomiast dzisiejsza jest niemal stuprocentową namiastką, z której materiał zastępczy wyrugował prawie zupełnie właściwy materiał fantazjotwórczy. Rzekome fantazjotwórstwo dzisiejsze jest największym snobizmem, snobizmem nad snobizmami.

Typowym przykładem takiej fantastyki, świadczącej o ubóstwie imaginacji, może być ulubiony przez współczesnych „fantastów” egzotyzm geograficzno-zoologiczny. Jest to już nie uczniowska zabawa kartograficzna, nie sporadyczna filatelistyka poetycka, lecz poprostu orgia szalejąca bez końca przez długich lat siedemnaście.

Było trochę tego też przed wojną. Ale dopiero od pierwszych futurystów datuje się ta śmieszna zabawa. Wiadomo, jakie harce wyprawiał Anatol Stern. Nie wartoby tego przypominać, jak nie przypomina się przy omawianiu poezji dawniejszej Soter Rozbickiego. Niestety, nauka poszła w las, a futuryzm Sterna podlegają ciągłej regeneracji, jak wiersze nieśmiertelnego Baki. Nie sądźmy, że tylko z wierszy Sterna można ułożyć efektowny słownik geograficzno-zoologiczny, składający się z nazw, o których poeta nie ma właściwego pojęcia. Ale „fantazja” jest:

Banzaj! Tak, ten wielbił laplandzki, ten rumak mój -- ren
Pośród zim srebrnych, nużących mknie tam, gdzie Japonki,
Jak pąk w pachnących spodenkach...

I tak pozostało. Sternowi należy się pomnik. „Ten wielbłąd laplandzki“, zastępujący Pegaza, zmienienia tylko nazwę w zależności od upodobania, Japonja może się przemienić w Madagaskar lub Abisynję, a tylko pąkl w pachnących spodenkach pozostają niezienne. Inny, któremu wielbłąd nie wystarcza, będzie opisywał, jak w gąszczach drzy krok jaguara. To jest fantazja! Bo wiadomo, że nawet najdzielniejsi myśliwi brazylijscy nie spotykają już jaguarów. Nie gardzą taką łatwizną nawet tak ambitni poeci, jak żagaryści wileńscy, i to może być miarą, jak głęboko, jak beznadziejnie ta futuryzyczna pseudo-fantastyka wzrosła w naszą poezję.

M i r o h ł a d y. Występując przeciw snobizmowi w skłonnościach do rzekomej fantastyki, nie chcę jednostronnie i bezwzględnie odrzucać lub potępiać tego rodzaju. Niby-liryka i niby-fantastyka właściwie niewiele się różnią między sobą, a łączą się właściwościami pustego słowa, są grą słów. Ale nie znaczy to, by nie posiadały znamion dzieła sztuki. Niedawna dyskusja o mirohładach wysunęła problem artystyczności podobnych zestawień. Warto przypomnieć zdanie Ingardena i zastanowić się, czy nie należałoby zatrzymać pojęcia mirohładów i ochrzcić niem wszystkie utwory poetyckie, posiadające treść złożoną z materiału zastępczego, przeznaczonego tylko dla efektownej gry słów. Mam wrażenie, że wysuwa się konieczność powołania do życia takiego rodzaju, odgrodzienia go od rodzajów innych również ścisłymi granicami, jako krynicę czystej gry słów. Takie rozwiązanie wydaje mi się narazie bardzo korzystne. Uprościłoby wiele zawłości, pozwoliłoby innem okiem spojrzeć na lirykę, kto wie nawet, czy zagadnienie rytmiki i metryki nie znalazłoby się w nowem świetle. Podejrzewam nprz., że stare metry okazałyby się najwłaściwszym odpowiednikiem dla takich mirohładów, które z natury rzeczy ciążą ku muzyce, a według mego zdania, niesłusznie uważane są za lirykę, będąc najwyżej jej pograniczem. Może po takim rozgraniczeniu kwestja rytmiki w utworze lirycznym okazałaby się zagadnieniem zupełnie nowem, którego nie możnaby utożsamiać z rytmiką utworów mirohładowych. A równocześnie byłoby to kapitalnem rozwiązaniem licznych wątpliwości powstających przy klasyfikacji takich utworów, jak „Słopiewnie“ Tuwima, „Obrazy imion wróżebne“ Iłakowiczówny, licznych wierszy starego i nowego „Skamandra“. A nawet, idąc wstecz, — conajmniej połowa poetyckiej „Chimery“ weszłaby pod ten znak.

F a n t a z j o t w ó r s t w o. Utwór poetycki nie może powstać bez działania wyobraźni. Liryka, epika, mirohłady muszą posiadać drgnienia fantazjotwórcze, bez których poezja nie mogłaby istnieć. Widzę jednak różnice między fantazjotwórstwem liryka, epika, mirohładoplewcy i fantasty.

Fantazjotwórstwo w liryce ma charakter pracy dopełniającej, wykończenia szczegółów. Materiał do wiersza lirycznego składa się jakby z realistycznej osi, otoczonej gęstą mgłą imaginacji. Niema takiego stanu czy wydarzenia, które możnaby odtworzyć bez luk. Te właśnie luki musi wypełniać czujne fantazjotwórstwo poety, wprowadzając taki materiał, któryby najwierniej oddawał zagubiony szczegół. To z punktu widzenia autora. Odbiorca wiersza w najprostszej relacji lirycznej może mieć najbardziej fantastyczny zespół materiału. To może zależeć od rodzaju przeżyć poety, od częstotliwości przypomnień i od zasobu spostrzeżeń odbiorcy. Częstotliwość przy-

pomnień może mieć w liryce znaczenie zaciemniające kontury pierwszego wrażenia i następnych przypomnień wskutek sumowania się wszystkich przypomnień przeszłych, które — jako że każde powstawało w innym czasie i w innych okolicznościach — pozostawiają ślady. Przypomnienie ostatnie, wskutek nakładania się tych śladów, może przybrać nawet postać wizji sennej, a dla odbiorcy przedstawiać zupełnie fantastyczny obraz.

Podobne dopełniające fantazjotwórstwo działa również w epice. Inaczej jest w „mirohladach“, czyli poezji czystej gry słów. Tu jest raczej „mgła i galareta“ imaginacyjna. Tu wszystko odbywa się na niby. Dobrze, gdy autor przynajmniej w czasie pisania przedstawia sobie, że przeżywa opisywane momenty, dobrze gdy odbiorca udaje, że wierzy w przedstawione, ale to inna sprawa. Skłonność do marzeń, do imaginowania zdarzeń nieludzkich leży w naturze człowieka, czasem jest pracą twórczą, czasem najłatwiejszą ucieczką od rzeczywistości. W „mirohladach“ bywa zazwyczaj ta druga strona. W mirohladach jest właściwie mało istotnego fantazjotwórstwa, jest tam raczej samorzutna gra imaginacji, krążenie mgły, a więc materiału mało uchwytneho, o podobnych szczegółach, co w ostatecznym wyniku daje utwór mglisty, jak każde niemal marzenie. Wiersz taki dostarcza łatwych efektów, pobudza dźwiękiem i mgłą treści sentymentalnego odbiorcę do łatwych marzeń. Mimo pewnego tła fantastycznego, tego rodzaju utwory wyjęte z mgły samego poety, chociażby mówiły o najbardziej egzotycznych Papuasach, najbardziej upiornych dziwożonach lub dziwowodach, nie oznaczają fantazjotwórstwa lecz zwykłe, trochę dziecinnowe fantazowanie. Gdy poeta napisze: „Tamburyn w rękach anioła zajączał jak dzwon na biegunie“ — dokonał takiego właśnie fantazowania.

Fantazjotwórstwo istotne — takie, które nie byłoby tylko pustą grą słów, musi opierać się na kombinacjach istotnych przeżyć poety. Umiejętność tworzenia takich kombinacji może dopiero dać prawdziwie fantastyczne wiersze o treści oryginalnej, wiersze nie o papierowej wizyjności ballad lub infantylizmie pseudo-egzotyzyzmu, lecz o zaletach prawdziwej wizji. Wynikałoby to nie ze zdolności wyobrażenia sobie przedmiotów nieludzkich, lecz zdolności układania procesów nigdy niespostrzeganych. Taka mniej więcej zasada: prawdziwe zjawisko przeniesione z miejsca pierwotnego przeżycia w inne miejsce, dopełnione innemi prawdziwymi (t. zn. istniejącymi w zasobie spostrzeżeń poety) cechami z innego przeżytego wrażenia. Wtedy gra fantazji nie będzie mgłą i galaretą fantastyczną lecz istotną fantastyką.

Spójrzmy na przykład. Poeta posiada w zapasie przeżyć wojnę, widział pobojuwiska, pełne grozy zastygłych ciał poległych w ataku żołnierzy. Jedna „scena“ zamknięta na zawsze w pamięci: trup żołnierza z utkwionym bagnietem w głowie. To jeden zespół przeżyć. Po latach poeta przebywa w Karpatach wschodnich, gdzie jeszcze w lasach górskich pozostały okopy z czasów wojny. Z dawnych ziemianek wyrastają młode sosny, w innych znajdują się siedliska gadów i płazów. Dwa zespoły wrażeń łączą się. Wspomnienia wojenne zbiegają się i umiejscawiają w zachowanym wśród gór ziemiankach. Przez takie połączenie odległych elementów może powstać oryginalna wizja fantastyczna. Gdy w poetyckim wyniku tego połączenia, poeta umiejscowi poległego żołnierza wśród sosenek wyrastających z okopów, pisząc: „Z bagnietu utkwionego w czole zielona wyrasta sosenka“

— da nam przykład właściwego fantazjotwórstwa. W ten sposób pojęte fantazjotwórstwo usuwa z wiersza przygodność papierowych skojarzeń, daje natomiast fantastykę autentyczną. Tego zaś podrobić nie można. Słusznie twierdzi Czechowicz, że nie da się naśladować wyobraźni. Ale takie fantazjotwórstwo nie może być mieszane z pospolitą fantazjowaniem poetów, zaludniających bez skrępowań wiersze Hotentotami i dziwożonami, „zawierzęcących” tygrysami i jaguarami, przerzucających się bez trudu i odpowiedzialności od fjordów Norwegji do minaretów Sztambułu. W hierarchji utworów taka mgła i galareta musi pozostać na samym końcu, jako łatwizna, nie może liczyć na życie. Wiersze prawdziwie fantastyczne mogą przetrwać wieki, jak mity greckie, które też zapewne nie zostały wyszane z palca, lecz wyrosły naprawdę z jakichś tytanicznych przeżyć.

P o g r a n i c z a. Wyszczególnione rodzaje w postaci czystej spotykają się obecnie bardzo rzadko. Może to wynika z bezstylowości poezji dzisiejszej. Najczęściej spotykane wiersze są mieszaniną, w której wszystkiego jest potroszę. Zwłaszcza pogranicze między liryką a mirośladowością szczególnie jest umiłowaniem, do tego stopnia, że zatraciła się właściwa granica, w końcu zdecydowano się wszystko, co posiada charakter drobniejszy, nazywać liryką. Nie trzeba udowadniać, że ten zanik granic szpeci poezję. Sądzę, że odmienne reguły, rządzące każdym rodzajem, domagają się zadośćuczynienia, a gdy im to będzie dane, odpłacą się utworami wysokowartościowymi. Nawet tak ułatwiony pozornie rodzaj, jak „miroślady” wymaga bardzo subtelnej organizacji swych pustych słów i może też przynieść utwory o nieprzemijającej wartości. Bezwzględna czystość tego rodzaju może dać stuprocentową oryginalność, której naśladować nie można bez narażenia się na natychmiastowe zdemaskowanie. Pouczyć nas mogą o tem „Słoplewnie” Tuwima. Autentyczna fantastyka w czystej postaci okazałaby się może rodzajem najtrudniejszym. Ten gatunek, obecnie, zdaje się, u nas przez nikogo niepróbowany, wymagałby, wobec triumfów kiepskiego fantazjowania, dyscypliny naprawdę żelaznej. Jakże namówić poetów do tego, jak ich przekonać, że nowa fantazja o latającym dywanie nie leży w Afryce ani w Australji lecz w zasobie ich własnych przeżyć? Jakże ich odwrócić od klniarskiego mazgajstwa i nauczyć fantazjotwórstwa?

Niektórzy twierdzą, że nasza poezja współczesna jest świetna. Ja uważam to za samochwalstwo. Owszem, mamy świetne talenty — i wielki chaos twórczy. Z tego chaosu wyskoczy czasami, jak rakietą, wspaniały utwór. Ale ta wspaniałość jest tylko wystrzałem talentu, wystrzałem, który udał się raczej przypadkowo. Nie jako skutek połączenia dyscypliny twórczej i talentu. Tylko o niektórych poetach możnaby mówić, jako o wyjątkach.

W dążeniu do wielkiego stylu poetyckiego, o ile epoka dzisiejsza zdolna go jest wytworzyć, poeci powinni całkowicie zerwać z magją i usunąć zamazane pogranicza. Styl wymaga umiejętnego rozmieszczenia właściwych przedmiotów na właściwym miejscu, nie znośi chaotycznego pomieszczenia. Stąd konieczność ścisłych odgraniczeń.

STANISŁAW CZERNIK.

WYMIANA POGLĄDÓW

Pragnąc zgromadzić poważny materiał dyskusyjny i przyczynić się do częściowego wyjaśnienia niektórych zagadnień, redakcja „Okolicy Poetów” zwróciła się do kilkunastu najczynniejszych poetów starszego i młodszego pokolenia z prośbą o wypowiedzenie się w następujących sprawach:

1. Czy dzisiejszy rozdźwięk między t. zw. poezją starą a poezją eksperymentalną („awangarda”) jest zwykłym objawem przemian ewolucyjnych, czy też wyrazem degeneracji jednej lub drugiej strony?

2. Jakie okoliczności mogłyby podnieść poziom współczesnej poezji polskiej?

3. Czy krytyka poetycka odpowiednio spełnia swoje zadania, i czego poeta żąda od krytyka?

4. Które z utworów poetyckich (nie tomów) z lat ostatnich mogą być uważane za wyraz niezależności od starych i nowych doktryn poetyckich?

5. Inne uwagi.

Postawienie takich a nie innych pytań i właściwości ich sformułowania mogłyby być przedmiotem dyskusji. To zwykle wątpliwości, pozostające po każdym sformułowaniu. Punkt ostatni pozwala wypowiadającym się wysunąć własne zagadnienia, które stają się materiałem uzupełniającym.

W numerze niniejszym ogłaszamy część nadesłanego materiału, umieszczając go według kolejności wpytania.

I.

Ankieta porusza sprawy kardynalne dla obecnej sytuacji poezji polskiej, którym — jeśliby pokusić się o sumienną i wyczerpującą odpowiedź — należałoby poświęcić obszerne i zadokumentowane studjum. Rozmiar odpowiedzi i sformułowanie pytań zmusza do treściwej, a tem samem symplifikowanej, wypowiedzi.

Ad I) Poezja „eksperymentalna”, czy, jak inni ją zwa, „awangardowa” (tak bowiem pozbawieni zmysłu ścisłości przezwali ją ci, którzy uzurpują sobie prawo reprezentowania jej na gruncie polskim) niemal nie istnieje u nas. Osobiście za jedynych „awangardowców” w znaczeniu europejskiem tego słowa, a nie regionalnem, byłbym skłonny uważać: Przybosa, Czechowicza, Ważyka, częściowo Czyżewskiego i Miłosza, oraz niektóre moje próby (z których większość jest niedrukowana). Cała bez wyjątku reszta, to w najlepszym razie pomyłki ludzi zdolnych, niekiedy uczciwych, w większości wypadków wtórnych lub bałamutnie myślących. Pomijam wyraźnie rozplenioną grafomanję, która zarówno kompromituje poezję, jak „awangardę”. Świadomie również przemilczam zasłużonego na polu teoretycznem Peipera oraz Kurka, który odnalazł (częściowo) siebie, gdy połowicznie choćby zerwał z tem, co wydawało mu się „awangardą”.

Obok poezji tradycyjnej istniała zawsze poezja odmienna, conajmniej od czasów Pindara. Te kierunki, zwalczając się i zachodząc w siebie, uzupełniały się wzajem. Większość poetów „wyklętych”, niezależnie od ich rangi, należała do ówczesnej „awangardy”. Niekiedy bywali zapóźnieni,

zazwyczaj przedwcześni i mimowoli lub pół-świadomie zwiastujący. W tym sensie największym polskim awangardzistą jest i chyba pozostanie Norwid, niezależnie od tego, że szereg zdolnych poetów obecnie go wulgaryzuje, niekiedy mechanicznie (Dobrowolski, częściowo Plechał, oraz inni); obok niego wymienićby należało Micińskiego (po odczyszczeniu go z przerostów secesji i tylko w punktach szczytowych twórczości) poniekąd również Wyspiański (nieliczne utwory). Tem samem, zdaniem mojem, wyczerpany jest punkt pierwszy ankiety.

Ad II)

a) Zeuropeizowanie jej. Precyzuję: spojrzenie na siebie, własną pracę, cały dotychczasowy, bardzo znaczny, lecz ciąglej wymagający rewizji, dorobek kulturalny, o c z a m l Z a c h o d u. Zrezygnowanie z pychy, próżności, małostkowości, fałszywego patriotyzmu własnego podwórka. Jest to dalekie od internacjonalizmu, przeciwnie: właściwem i godziwem włączeniem w prawdziwą sztukę w obrębę cywilizacji śródziemnomorskiej.

b) Powrót bez łatwizny do podstawowych, biologicznych założeń rasy, narodu, szczepu: jeśli kto woli: powrót „do ziemi”. Anty-urbanistyka która pociąga za sobą spłytenie, schorzenie, pogoń za zyskiem, sukcesem jednodniową sławą. W związku z tem: sprawdzanie siebie u determinant, możliwie czujne i bezustanne. Słowem: heroizm.

c) Przesycenie poezji jeśli nie treścią, to przynajmniej postawą etyczną, możliwie jednolitą, twórczą, nieubłąganą, łagodną, zaczepną. Mojem osobistem zdaniem: dyscyplina katolicyzmu, która jedyna uratować może poetę przed deprawacją i wynaturzeniem; lecz katolicyzmu, pojętego nie jako kwietyzm, lub wygodne osiągnięcie, lecz jako ustawiczna budowa osobowości.

Ad III) Nigdy nigdzie krytyka nie spełniała „odpowiednio” swoich zadań. To przerasta jej siły. Pierwszy powód: nadmiar materiału, brak perspektywy, nikłe zainteresowanie poezją ogółu (dla którego poezja pozostaje zazwyczaj środkiem nasennym, lechtliwym kawiołem, lub „kwadransem duszy” dla sytych lub też proporczykiem dla ambitnych i niezadowolonych) Drugi, bardziej ważki: większość krytyków („od poezji”), to niedonoszeni lub zwicnięci poeci, którzy odbijają sobie zawód; jest w tem zatem ressentiment. Nie mówię o ludziach głuchych od urodzenia na poezję (tych znakomita większość); by zacytować jeden przykład: zasłużony w innych dziedzinach Irzykowski oraz błyskotliwy essayista: Boy-Żeleński. Ad IV) Sporo; nie podejmuję się na poczekaniu zestawić takiego katalogu. Cenę tych poetów, których wymieniłem, chociaż nie wszystko w równej mierze. Ad V) Powracam do punktu wyjścia: należałoby napisać rozprawę.

STEFAN NAPIERSKI

II.

1) Aby odpowiedzieć możliwie najobiektywniej na pytanie, czy dziśszy rozdźwięk między t. zw. poezją starą a poezją eksperymentalną („awangardą”) jest zwykłym objawem przemian ewolucyjnych czy też wyrazem degeneracji jednej i drugiej strony, należałoby sięgnąć w rodowód społeczny przedstawicieli „poezji starej” i „awangardy”, wymacać w jakiej gle-

bie socjologicznej czerpią soki korzenie ich utworów. Okaze się wtedy, że ten „rozdźwięk“ nie jest objawem ani „zwykłych przemian ewolucyjnych“, ani też „degeneracji jednej lub drugiej strony“, lecz wyrazem kontrowersji dwóch nawarstwień społecznych, często nawet w łonie jednej klasy zachodzącej. Z jakiejż bowiem klasy społecznej rekrutują się przedstawiciele „poezji starej“? Z niedobitych resztek dawnego ziemiaństwa, z inteligencji wielkowiejskiej ze świeżymi jeszcze tradycjami szlacheckimi i asymilowanymi „kulturalnie“ w służbie u wielkowiejskiej burżuazji „wychodźców“ drobnomieszczańskich, proletariackich i chłopskich (wśród nich znaczny odsetek stanowią żydzi we współczesnej naszej literaturze). A z jakiej klasy społecznej mobilizują się przedstawiciele „awangardy“? Z tej samej, tylko ze świeższego jej nawarstwienia. Przeważnie z drobnomieszczaństwa i rodzimego „kułactwa“, które swe marzenia o pawich piórach i pańskim dworze transponuje na teorię materializmu dziejowego i marxistowską walkę klas. Nie widzimy tu już zupełnie przedstawicieli schodzących z areny historycznej resztek ziemiaństwa, mniej znacznie mamy przedstawicieli wielkowiejskiego kapitału. „Awangarda“, to w przeważnej większości ludzie wsi (oczywiście wsi posiadającej) i drobnych miasteczek polskich. Stąd ich rewolucyjność formy przy jednoczesnej regresywności samej treści. Po takim rozgraniczeniu socjologicznym twórców starej i nowej poezji nikomu już chyba trudno nie będzie ustalić, na czym polega ów między nimi „rozdźwięk“.

2) Uważam, że poziom formalny współczesnej poezji polskiej jest bardzo wysoki — zarówno starej jak i nowej. Chodziłoby raczej o jej poziom ideowy, a ten w znacznej mierze zależny jest ściśle od ideowych przemian naszego życia zbiorowego.

3) Naturalnie, że krytyka współczesna nie spełnia swego zadania wobec poezji tak jak powinna. Tylko w normalnie funkcjonującym organizmie społecznym może być mowa o racjonalnym stosunku krytyki do poezji, jako funkcji społecznej. Dzisiejsza zmienność kryteriów i sądów estetycznych nieumotywowana równoczesnością przemian i ewolucyj społecznych, nie może porządkować spraw w dziedzinie poezji, jak to z racji swego powołania czynić powinna, lecz tylko wprowadza jeszcze większy chaos i zamieszanie. Z takiego stanu rzeczy jasno już wynika, czego poeta może żądać od krytyka? Jasnych kryteriów i zdecydowanej ideologii społecznej.

4) W odpowiedzi na ten punkt musiałbym również mówić i o sobie, wobec czego wolę nie odpowiadać.

5) Zagadnienie kontrowersji między starą a nową poezją należałoby, według mnie, rozpatrywać ściśle w związku z zagadnieniami starej i nowej prozy, starej i nowej krytyki, na ogólnym tle współczesnej literatury — nie tylko polskiej. W prozie polskiej, na przykład, widzimy to samo zjawisko, co w poezji. Istotne zagadnienia życia współczesnego stawia powieść, będąca czemś pośrednim między powieścią starą a nową. Czy to stanowi tylko o jej okresie przejściowym, z korzyścią dla „awangardy“? Chyba nie, bo element formy zawsze musi być równoważony elementem treści (oczywiście „treści czysto życiowej“), o czym nie chcą pamiętać „awangardziści“ zarówno w prozie jak w poezji. Dogmat równowagi treści i formy jako warunku doskonałości twórczej awangardzistom właśnie zawdzięcza dziś swoje

ostateczne ufundowanie. Wobec zbytnej opieszałości jednych, drudzy zanadto znów się zagalopowali — oto stary i stały obraz literatury dawnej i nowej, oczywiście ze zwróceniem uwagi, że opieszałość i aktywizm w dziedzinie literatury, to też rezultaty dialektycznego rozwoju warunków społecznych.

MARJAN PIECHAŁ.

III.

Odpowiedź na pierwsze pytanie ankiety nie łatwa, jest ono bowiem tak sformułowane, że zgóry narzuca dwa tylko możliwe sądy. A ja o przyczynie „rozdźwięku“ między poezją nową i starą mam inne, trzecie zdanie. Nie wiem, czy nazwać objawem degeneracji szkołę warszawską, wywodzącą się z liryki Staffa i naśladownictwa poezji rosyjskiej. Stan starej poezji określiłbym raczej — wnioskując na podstawie wierszy starych skamandrytów we wznowionym Skamandrze — jako **z d z i e c i n n i e**. (Mówię to bez złośliwości, ze smutkiem: przeczytajcie „Don Juana“, „Mgłę“ i t. p. mirohłady.)

Nie potrafiłbym też wskazać w przedwojennej poezji polskiej poprzędników Nowej Liryki, skłaniam się więc do przekonania, że „awangarda“ to nie wynik „przemian ewolucyjnych“, lecz rezultat rewolucji. W Polsce nie było Mallarme’go czy Rimbauda, do którychby nowatorzy mogli nawiązać, i jeśli kogo godziłoby się obrać naszym Wielkim Pierwszym — to największego polskiego rewolucjonistę formy — Słowackiego.

Przyczyny t. zw. „niezrozumiałości“ i t. p. zarzutów ze strony tradycjonalistów wyłożyłem w „Pionie“. Rzecz w tem, że spóźnieni w Polsce poeci nie zdają sobie sprawy z tego, iż od czasu rewolucji symbolistów mowa poetycka zdążyła do swojej specyficzności, coraz bardziej oddalając się od dawnej rymowanej prozy. A oni, ci spóźnieni, wierszują sobie postaremu swoje dziecinnie naiwne dziennikarskie „małe feljetony“.

Reakcja, jaka obecnie w ruchu poetyckim da się zauważyć, wypływa z braku odwagi i nieprzemyślenia tej podstawowej idei nowatorskiej przez młodszych od nas poetów. Ci najzdolniejsi z Wilna, którzy szli z nami, i ci z Lublina, którzy wyszli ze świetnej poezji Czechowicza: Miłosz, Zagórski, Łobodowski i i. — zawracają na usypiające **r u i n y p s e u d o k l a s y c y z m u**. Retoryczne wiersze jakimi zapełniają karty Skamandra Zagórski i Łobodowski (Miłosza ocala jeszcze wizyjność) to słupy milowe odrotu od nowoczesnej poezji ku — upadkowi. Mówię to bez ogródek, ośmiela mnie do tego szacunek dla tych talentów i obawa o ich los poetycki! Rację ma Maśliński, jedyny bezkompromisowy żagarysta, gdy bije na alarm.

Jakie okoliczności mogłyby podnieść poziom współczesnej poezji polskiej — nie zgadnę. Może jednak **k r y t y k a f o r m a l n a**. Krytyka, któraby mając odwagę przeciwstawienia się utartym poglądom, umiała dowieść, że X. Y., choćby nie wiem jak ceniony, jest tylko powtarzaczem cudzych osiągnięć, i któraby nie ulegając kontemplacji wątpliwych indywidualności, umiała wykazać obiektywnie, czy i o ile autor rozwija formę poetycką. Niewielu widzę powołanych do takiego zadania: jeden chyba **M a ś l i ń s k i**, a z najmłodszych Łaszowski.

Za najbardziej niezależny utwór z lat ostatnich uważam „k o ł y s a n k ę b o k s e r s k ą” Flukowskiego.

Nakoniec uwagi o rytmie i metrze. Czernik, recenzując rozprawkę Fr. Siedleckiego, wyraził zdanie, że spór między nową i starą poezją skupia się coraz bardziej około zagadnienia rytmiki. Siedlecki zdaje się być gorącym wielbiciele metru, a więc rytmu najbardziej zeschematyzowanego, banalnego, najłatwiejszego, ale dla mnie najciekawszym z jego uczonej rozprawki było wyznanie, że niesposób odróżnić mowę rytmiczną od nierytmicznej. Wyznanie to dziwnie przypomina twierdzenie Peipera, że dla dzisiejszego naszego poczucia rytmiczności niema już mowy nierytmicznej. Wbrew mniemaniu pewnych krytyków, którzy nie umieją czy nie chcą doszukać się w rytmice awangardzistów — rytmu, twierdzi (w Dźwigarach) Łobodowski, że właśnie w dziedzinie rytmiki nowa poezja osiągnęła najlepsze wyniki.

Jeśli chodzi o mnie, to jak o tem pisałem w Lini, kieruje się instynktownym wycuciem rytmu „unistycznego”, t. j. takiego, któryby przy różnorodności poszczególnych fraz (wierszy) stanowił jedność nadrzędną, trzymającą całość utworu w jednym prądzie rytmicznym. Wiem, że każde przeżycie liryczne objawia się w jednym, sobie tylko właściwym rytmie i właśnie o ujęcie tego swolstego rytmu mi chodzi. Jest to w trakcie krystalizacji liryki trud jeden z największych, i dopóty mój poemat nie gna, dopóki jego „całościowego” rytmu nie odczuję już nie tylko w uchu, ale i w mięśniach. Nie mogę się dzisiaj dość nadziwić naiwności tych poetów, którzy układają swoje wzruszenia w oklepiane wzorki metryczne; takie liryki wydają mi się jakby mało rzetelne, retuszowane dziesiątkiem innych, cudzych przeżyć ułożonych w koleinach tego samego rytmu. Oczywiście zdaję sobie sprawę z korzyści, jakie daje poecie operowanie a l u z j a m i literackimi, ale to wydaje mi się już stylizacją, a wobec naczelnego zadania liryka: uchwycenia integralnej, autentycznej poezji — kompromisem. A przecież każde prawdziwe przeżycie liryczne jest j e d y n e i n i e p o w t a r z a l n e.

JULIAN PRZYBOS

IV

1. Rozdźwięk, jaki istnieje u nas między poezją starą a awangardową, jest przejawem świństw, narzucanych naszej opinii literackiej. Różne wytwórnie fałszu i niłkzemna służalczość ulegających im krytyków współpracują misternie, a jeśli trzeba mistycznie nad fałszowaniem wartości. Inaczej nasza awangarda byłaby już dawno uznana za najęzszy wyraz rrrrregeneracji. Idee polskiej awangardy nie tylko współbrzmiały z najżywotniejszymi głosami Polski wolnej, ale twierdzą — i twierdzenie to poddają pod sąd najsurowszych badaczy — że za ideami polskiej awangardy poszło polskie życie wielu swymi ruchami, nawet pewnymi ruchami politycznymi.

2. Najlepsze czyny awangardy podniosły poziom polskiej poezji współczesnej. Nie wolno jednak przeoczać, że u awangardzistów bywają momenty niedość przenikliwego widzenia drogi awangardowej, nie wolno też nie widzieć poetów, którzy marnują się na błędnych drogach. Przeciw-

działać złu możnaby następująco: Należy usta ująć złożonemi tubowato rękami i wołać, że bez pracy nad ideami o poezji nie może być dobrej poezji. Ludzi zdolnych, wybitnie zdolnych, zawrotnie zdolnych mamy pod dostatkiem, a jeśli działalność ich nie jest równa ich zdolnościom, to dlatego, że idee o poezji, jakie zawleszono na naszym niebie, uniemożliwiają dobrą poezję. Pracy nad ideami o poezji powinno oddać się specjalne pismo, ale pracę tę wykona ono skutecznie jeśli urzeczone będzie poezją na śmierć; w piśmie takim fałsz byłby niemożliwością, nieprawda tylko przypadkiem; wszystkie nieprawdy musiałyby być prostowane ze surowością nieubłaganą. Ważnym, a dotąd niewzględnianym sposobem pracy nad poezją byłoby udostępnienie sporej części pisma czytelnikom; niech się zwierzają z tego, co dzieje się w ich wyobraźniach i uczuciach przy czytaniu tego czy innego miejsca w tym czy innym utworze, niech się zwierzają z tego co im się podoba a co nie; jestem przekonany że te zwierzania, wybierane ze znawstwem, mogłyby być ciekawym i cennym przyczynkiem do rozmyślań o poezji. Pismo, któreby czytelników dopuściło do głosu obszernie, stworzyłoby naprawdę okolicę poetów. W każdym razie niektórzy z nas dopiero wtedy byłiby wśród swoich. Cóż mi po poetach, z którymi nie mogę się porozumieć? Moją okolicą jest ta, którą tworzą wraz ze mną moi najlepsi czytelnicy, ci którzy mnie czują i którzy mnie kochają!

3. Od krytyka żądam aby był piszącym czytelnikiem.

4. Niema utworu, któryby nie był zależny od jakiejś doktryny poetyckiej. Nie było nigdy poezji bez doktryn poetyckich. Ci, którzy przypisują tu sobie niezależność, przeocząją, że są epigonami lub eklektykami doktryn których nie znają. Jeśli dzieje polskiej poezji nawet w ważnych jej momentach czynią czasem wrażenie niezależności, to dlatego że nasi poeci przyjmowali z zagranicy gotowe kompleksy sposobów poetyckich, wypracowanych tam świadomie na podstawie określonych idei artystycznych t. j. tego co u nas tak skwapliwie nazwano doktryną.

TADEUSZ PEIPER

V.

Ad 1. Degenerację wykluczam po obu stronach. Niema jej w poezji starej, która zupełnie widocznie przeżywa różne przemiany, jakkolwiek powolne (Tuwim, Iłakowiczówna, Wierzyński i. t. d.) Nie ma również cech degeneracji poezja awangardy. Ale w obecnym swoim stadium zawiera ta poezja — poza czynnikami ewolucyjnymi — jeszcze sporo pierwiastków rewolucyjnych. Nie przeszkadzałoby to — na dalszą metę — dojściu obu stron do porozumienia (każda szczerza rewolucja przyciąga), gdyby nie to, że właśnie trudno się w tej częściowej rewolucji dopatrzeć naturalnego zapału, jaki cechuje wszystkie rewolucje — twórcze; przeciwnie, — ma się wrażenie, że niejeden „okrzyk bojowy” czy manewr taktyczny jest robiony na zimno, bez wewnętrznego przekonania o jego słuszności.

Nie może więc być mowy o zgodzie między oboma kierunkami, dopóki zapędy rewolucyjne awangardy nie złagodnieją na ton ewolucyjny albo — czego im życzę — nie nabrzmieją rzeczywistym uniesieniem, któ-

reby z czasem mogło mieć szanse przeciągnięcia antagonistki na swoją stronę.

Ad 2. Odróżniłam poziom rzeczowy, mierzony wysokością natchnienia, i poziom formalny, mierzony dzielnością w rzemiośle. Na niskość pierwszego, oczywiście, nigdy remedium nie znaleźliśmy, okresy słabości w sztuce są i muszą być nieuleczalne, bo słabość ta u wszystkich twórców w rachubę wchodzących jest ułomnością od urodzenia.

A poziom formalny? O cóżby tu chodziło? O doprowadzenie poetów do lepszego opracowywania swych zadań. Czy warto wogóle starać się o to — pomijając kwestję, jakie środki należałoby zastosować i czy co do wyboru ich wszyscy zgodziliby się? — Szkolenie się jest możliwe tylko u tych, którzy sami czują jego potrzebę, przyczem instynkt artysty zwykle wskazuje im właściwą drogę. Od uszu reszty najlepsze rady odbiją się jak groch od ślany.

Ad 3. Z małymi wyjątkami — zgoła nieodpowiednio. Krytyk — w poważnem pojęciu tego słowa — to tyle samo, co sędzia. Wolno mu się mylić, jak każdemu człowiekowi. Ale osąd (dodatni czy ujemny), który wydaje, winien odpowiadać jego najgłębszemu przekonaniu bez względu na konsekwencje. Subiektywna prawda, którą wygłosi, winna dokładnie pokrywać się z tem, co czuje jego sumienie i to nie czasem t. zw. sumienie literackie, ale — i to trzykrotnie należałoby podkreślić — sumienie czysto ludzkie, bo ono jedno jest głosem niezawodnym i bezwzględnie niezależnym we wszystkich czasach i wśród wszelkich prądów. — Nie znaczy to bynajmniej, żeby przygotowując swój osąd nie mógł się kierować sumieniem literackiem; owszem, winien nawet od tego rozpocząć, jak sędzia musi sprawę rozpocząć od litery ustawy; ale, jeżeli idąc tą drogą trafi na opór ludzkiego swego sumienia, wtedy winien oddać mu pierwszeństwo. (Mógłbym tę myśl szerzej rozwinąć, biorąc szczególnie pod uwagę dowiedzione przez historję fakty zupełnie fałszywych sądów, których przyczyną właśnie było nieliczenie się z sumieniem, ale toby wymagało osobnego studjum.)

Jakże zaś jest w istocie? Krytycy dzisiejsi z sumieniem zupełnie się nie liczą. (Sposób dowiedzenia, że tak jest, wymagałby znowu osobnych wywodów). Głoszą albo pół prawdy i pół kłamstwa, albo całe kłamstwo (do kłamstwa należy również przesada). Nie wchodzę tu w powody; są powszechnie znane lub dostatecznie wyczuwalne.

Oczywiście: marzyć o poprawie — to wierzyć w utopję. Nic się nie zmienia, bo tak zawsze było i pozostanie, że na stu krytyków jeden jest i będzie uczciwym.

N. B. Pomijam wogóle krytyków bez twarzy t. j. takich, którzy nie są zdolni do tego, żeby mieć swoje własne zdanie, bo dla istoty rzeczy istnienie ich jest całkiem obojętne.

Nie mam niestety czasu na to, żeby móc znać wszystkie wartościowe utwory poetyckie ostatniej doby. Nie mogę więc do tego pytania zabrać głosu.

STANISŁAW BĄKOWSKI.

VI.

Szanowny Panie! Uwagi wstępne: czy nie sądzi Pan, że interesująca skądinąd ankieta Pańska nazbyt zacieśnia swobodę wypowiedzenia się poetów. Oczywiście, sprawę rozwiązuje rubryka Inne uwagi, ale to nie o to chodzi. Bo sądzę, że przed postawieniem takich kwestyj, jakie Pan wysunął, należałoby powziąć coś, dla stwierdzenia co poeci myślą o poezji „wogóle”. Nie wątpię, że dałoby to bardzo wiele interesującego materiału.

Ja sam, zanim omówię poszczególne punkty ankiety muszę sformułować swoje credo poetyckie.

Otóż: źródło sztuki musi być czyste. Czyli nie należy pisać dla określonego doraźnego celu, dla określonej sprawy, dla takiej a takiej przyczyny namacalnej. Sądzę, iż sztuka ma nietyle charakter poznawczy ile analogiczny do poznawczego i dlatego w jej sprawach powinna obowiązywać surowa etyka i dyscyplina, jak w rzeczywistej filozofji.

Z tego stanowiska rzecz biorąc, tworzywem poezji staje się przede wszystkim wyobraźnia, jako odpowiednik myślenia. Tylko wyobraźnia może być zasadą szeregującą obrazy, wartości pojęciowe i muzyczne elementów poetyckich: słów, zdań, okresów. I włączyć nawet, tylko charakter wyobraźni określa je, tylko on jest problemem selekcji.

Wyobraźnia jest tem, czego się nauczyć nie można. Całe szczęście. Skłonność do powtarzania całych zdań i zwrotów po kilku przynajmniej poprzednikach jest plagą obecnego pokolenia poetyckiego, ale o ile straszliwszą plagą byłoby na dobitkę naśladowanie cudzej wyobraźni! Na szczęście, powtórzę raz jeszcze — to jest niemożliwe. Poezji w Polsce mało, a fałszerzy poezji — legion. Utrzymują się na powierzchni tylko dlatego, że czytelnicy (a i krytycy także, także, owszem), przywykają do pewnych „standardów piękności”. Jeśli ktoś próbuje naśladować charakter wyobraźni np. Wazyka lub Przybosa, czytający od razu wyczuwają zgrzyty, ale gdy tenże osobnik naśladuje ich chwyt poetyckie, składnię czy frazowanie — uważa się, że wszystko w porządku.

I płyną przez rzeczywistość polską tonny zadrukowanego papieru, wagony makulatury „ozdobionej” rymami i rytмами...

Po tym wstępie dopiero mogę odpowiedzieć na ankietę.

Ad 1—o. Nie widzę rozdzwiku między t. zw. poezją starą i awangardą. Dostrzegam paru rzetelnych twórców, którzy wypowiadają dzieło swej wyobraźni bardziej lub mniej tradycyjnie, ale przeważnie zgodnie z tej wyobraźni charakterem. W ewolucję poezji wątpię. Poprostu dlatego, że nie umiałbym ocenić w czym wyobraźnia Dantego jest wyższa lub niższa od wyobraźni Wyspiańskiego. Tem samym nie mógłbym mówić o wartościach, stopniach, hierarchji i ewolucji.

A degeneracja — ta objawia się po obu stronach. Ani passelstom ani awangardzistom nie brak cech zwyrodnienia. Bo co innego może skłonić człowieka pozbawionego fantazji a przytem nieraz dość wysoko stoją-

cego intelektualnie, aby powtarzał cudze rymy, rytmy i obrazy, podawał je za swoje i w dodatku drukował to w pewnej nadziei, że „czytająca publiczność“ da mu laur poety. Nadzieję zawsze można mieć, ale zdrowy rozsądek teżby się przydał rozmaitym Łukaszom Flisom, Ewom Kowalskim, Georgom Apfelfeldtom i tym podobnym grafomanom. Mea culpa — wymieniłem tu tylko najmniej winnych, bo najjaskrawszych. Ale przecie najgroźniejsi są ci, których „ani do zimnych ani do gorących“ zaliczyć nie można. I naprawdy imię ich legion.

Ad 2—o. Poziom współczesnej poezji polskiej mogłyby podnieść nie pojedyncze wypadki, ale cały ich zespół. W tym zespole na pierwszym miejscu postawiłbym badania naukowe nad literaturą piękną, zaczęte zresztą tak pięknie przez Ingardena i częściowo Kridla, badania nad wierszem polskim i podniesienie poziomu krytyki literackiej w Polsce. To ostatnie ważne jest, bo gdyby nie kadzono bezmyślnie ustosunkowanym grafomanom, publiczność samaby może spostrzegła, że istnieją różnice jakościowe między utworami Illakowiczówny a jakiejś pani Stycz czy zgoła Ireny Tuwim.

Ad 3—o. Odpowiedź na punkt drugi wystarcza. Krytykę polską oskarżam, oskarżam, oskarżam...

Od krytyków należy wymagać bezstronności, odczuwania poezji (tego chyba brak im najwięcej), wreszcie szerokiego światopoglądu filozoficznego, opartego na studjach, nie zaś na poobiedniej lekturze popularyzatorskiej w rodzaju przemilego skądinąd J. Jeansa. Żądamy analizy, nie kadzidla, towarzyszenia naszym wysiłkom, nie pouczenia nas! Żądamy kryterjów, ale nie sztywnych jak drewno trumny — kryterjów, które dawałyby coś żywego w zestawieniu z tworam i poetyckimi. Żądamy także uczciwości handlowej — jeżeli entuzjastyczna recenzja z tomu popełnionego przez ważnego współpracownika jakiegoś tygodnika literackiego jest w następstwie zapłacona posadą stałego recenzenta w tymże tygodniku, to dlaczego ma o tem wiedzieć tylko 10 osób? Interes jest interesem. Kto będzie chciał czytać interesowne recenzje, weźmie do ręki produkty owego recenzenta. A kto będzie chciał czytać recenzje interesujące, weźmie się do lektury innych pism literackich. To takie proste!

Ad 4—o. Najtrudniejszy punkt. Sądzę, że niezależnie od wszystkiego, kierując się własną wyobraźnią tworzą nieliczni tylko w Polsce poeci. Jeśli chodzi o młodsze pokolenie, sądzą, że utwory takie dałoby się znaleźć w tomikach Pana, Przybosia, Jerzego Zagórskiego, Ważyka, częściowo Łobodowskiego, częściowo Ignacego Fika i — częściowo — w moich. Nie mając pod ręką materiału, nie podejmuję się wskazywać, które wiersze miałem na myśli.

Ad 5—o. Dużo bym chciał napisać o naszych, polskich sprawach poetyckich. Są one niejednokrotnie bardzo bolesne. Nieraz już przychodziło mi do głowy, że lepiej byłoby pisać tylko dla siebie i nie drukować — ale trudno. Chce się zobaczyć jak rzecz wygląda w druku „na czysto“. I ta myśl, że jednak bodaj kilkoro przeczyta takich ludzi, których ten wiersz ugodzi, jakby dla nich był pisany. A spotykałem takich.

JÓZEF CZECHOWICZ.

VII.

1. Pojęcia „poezji starej” i „poezji eksperymentalnej” za mało są sprecyzowane, nazbyt rozciągle i przez to niewiele mówiące. Sądzę, że takiego podziału w dobrej obecnej niema i że go nikt nie umiałby naprawdę przeprowadzić!

Nie uznaję pojęcia „awangardy” w potocznym, powszechnie przyjętym sensie. Rimbaud jest awangardzistą bardziej zaawansowanym od Czuchnowskiego, Piętaś wydaje się starszowiecki, mimo że dokładnie naśladuje Czuchnowskiego, Przyboś osłaga swoje zdobycze niezależnie od Pepera i wbrew swoim niedawnym teorjom, bardzo apoetyckim. I właśnie — jeszcze przed kilku laty można było mówić o zasadniczym „rozdźwięku”, wtedy, gdy „awangarda” była szkołą nawskroś formistyczną, dzisiaj, gdy jej przedstawiciele i sympatycy wypłynęli na szersze płaszczyzny treści (Przyboś — wczorajszy zimny konstruktywista, dzisiaj liryk, balladopisarz i sentymentalny pejzażysta, Czuchnowski — autor poematów społecznych), gdy wreszcie metafora w najszerszym znaczeniu stała się chlebem powszednim poezji polskiej, zasługującej na to miłano, różnice formy wydają się dość zewnętrzne. Zasługa w tem przedewszystkiem poezji zagranicznej, francuskiej: (Apollinaire, Jakob, Rewerdy) i rosyjskiej. Do tych źródeł sięgają młodszy poeci polscy, oddalając się od swojskiej „awangardy”: (Miłosz — Apollinaire, Łobodowski — liryka rosyjska).

Przeżywamy okres, podobny do okresu po-futurystycznego: najwolniejszy z niedawnych eksperymentatorów budują siłą własnego rozpędu, niezależnie od teoryj, ich „chwyt formalne” przestają być celem samym w sobie, zaczynają służyć istotnym ideom poetyckim, stają się rzeczywiście płodne. Słusznie stwierdza Czernik, że „nowa rola (nowej poezji) wymaga nowej nazwy”; niemniej znamieną jest uwaga (w tejże „Okolicy poetów”) że „współczesne boje o starą i nową poezję skupiają się coraz bardziej wokoło zagadnień rytmiki”.

Rzeczywiście: sam miąższ poezji, zasada wzięj, elementy treściowe, wszystko to upadabnia się coraz bardziej drogą naturalnej ewolucji i wzajemnego przenikania. („Awangardziści” w dzisiejszej fazie są znacznie mniej „nowocześni” od samych siebie z przed kilku lat) natomiast sprawa metru i rytmu wkroczyła w okres ostrej walki, przypominającej spory o *vers libre* Paryża literackiego z epoki Verlainé'a. Fanatycy „wiersza wolnego” z jednej strony i przeciwnicy — z drugiej nazbyt symplifikują zagadnienie. Nie tu miejsce na dłuższe wywody; uważam, że oba rodzaje wiersza (wiersz regularny, i wiersz wolny lub zwolniony) mają pełne prawo do życia, oba są jednakowo „trudne” dla poety i oba jednakowo „łatwe” dla wierszopisa. Lecz trudności te są innego rzędu. Niech mi będzie wolno tymczasem oddać głos Valéry'emu (przekład J. Mieczysławskiego.)

„Swoboda jest tak nęcąca; i tak osobliwie dla poetów; nastęrcza się ich fantazji takimi pozorami słuszności i po większej części tak nieodpartemi; stroi się tak umięjętnie w rozumność i nowość i zachęca nas takim mnóstwem korzyści, których strony ciemne mało są widoczne, żebyśmy

odstąpili dawnych prawideł, zważyli ich niedorzeczność i sprowadzili je do prostego przestrzegania praw tchu i słuchu, że niewiadomo zrazu, co jej przeciwstawić. Czy można nawet odpowiedzieć tej czarodziejce, że sprzyja niebezpiecznie niedbalstwu, kiedy tak snadnie może nam wytknąć przytłaczającą ilość wierszy bardzo złych, bardzo łatwych i strasznie regularnych? Prawda, że znajdzie przeciwko sobie równą ilość wierszy szkaradnych a wolnych. Oskarżenie to lata między wrogimi obozami: najlepszą podporą jednej partji są miernoty znajdujące się w drugiej, a tak ci do tamtych podobni, iż niewytłumaczone jest, że się między sobą różnią" ...

"Epoka nasza widziała narodziny tylu niemal prozodyj, ilu liczyła poetów, to jest trochę więcej systematów niż głów, bowiem niektóre mogły stworzyć ich kilka. Ale, w tym samym czasie nauki jak i przemysł... stanowią sobie miary jednolite" ... "Ci którzy obawiają się nieporozumień między autorem i czytelnikiem, w stałości sylab i w mniej lub więcej sztucznych symetrycznościach dawnego wiersza znajdują niewątpliwie przywilej, ograniczający to niebezpieczeństwo w sposób bardzo prosty, — powiedzmy, jeśli kto woli, prostaczy.

Co zaś do arbitralności tych prawideł, to nie jest ona, sama przez się, większa od arbitralności mowy, słownika czy składni". ... "Wszystkie te arbitralności, kiedy je już raz na zawsze przyjmie i sobie samym przeciwstawiamy mają pewien rodzaj piękności swoistej i filozoficznej"...

2. Sprawa ta jest zbyt rozległa i nazbyt ściśle związana z całokształtem życia, by wyczerpać ją na płaszczyźnie literackiej.

3. Krytyka w dobie obecnej nie spełnia swojego zadania, ale czy kiedykolwiek je spełniała? I czy jest to możliwe i naprawdę najważniejsze? Czy nie jest tak, jak mówi Norwid: „Autorów sądzą ich dzieła, nie autorzy autorów“ ?

Prawie każdy poeta wyjeżdża „z zatoki letargu w kraj ciemniejszy niż mrok Libityny“, w przyszłość, która z nim robi, co chce, zależnie od epoki, jej mniemań i ocen, jak — że przyloczę nieskromnie — w moim wierszu o poecie „Legenda“ („Skamander). A cóż dopiero mówić o współczesności „niestatecznej“ !

MIECZYŚLAW JASTRUN.

JÓZEF CZECHOWICZ

NIENAZWANE — NIEJASNE

Smyczki — ze struny na strunę,
karabiny — z ramienia na ramię.
Złotej firanki łunę
uśmiech rozpruje,
choć tak smutna chorągiew na bramie.

Chociaż kowal niósł podkowę w ogorzałej ręce,
niósł i grzmiało w głębi kuźni, mimo pory wczesnej,
a tramwaje śpiewne kryły się czempredzej
za rogiem ulicy, gdzie budynki rzeźni.

Chmura szła i ciemny dym z komina statku —
tutaj, na Powiślu, sam nie wiem, co gra.
Kozę prowadzili w starodrzewiu cień.
Była pstra.

Liryczne okno, to i naprzeciw, matko.
Matko, matko, matko, uśmiechać się chciej.
Matko, czy zgadujesz, co wyrażam? Nawet
łyzy gniewu — a nieraz pieką, gdy nie zasną.
Chyba, że ty także ulatywać umiesz
słupem wichru, wierszem, w górę, nad Warszawę,
w to, co jak północ niejasne.

MIECZYŚLAW JASTRUN

*

Świat mnie przerażał swoim ogromem.
Rosłem ku niemu krzywo, zachwiany jak kwiat,
Zalękniony na progu zakochanych lat,
Jak ten, kto pod oknami nieznanego domu,
(Gdzie w zapuszczonych sztorach onieśmiela cisza)
Przechadza się krokiem niepewnym, nim wejdzie do wnętrza,
Dzisiaj — gniewem wyrośłem nad dom,
Ku dalekim wyteżony dniom,
Nienawiścią, która kocha, gdy dręczy,
Wierszem, który podważyć i dźwignąć chce świat
Nie proszę, żądam od życia.

STEFAN FLUKOWSKI

W O J N A

Już wynikł lotny oszczep z twardych ciał,
przez chwilę
zostawiając postać młodzieńców w bezsilnym milczeniu.

Długoż jeszcze przyjdzie czekać na warczący pocisk
póki nie trafi — nie minie — ?

We wrogim błysku tamtych oczu trwa
ponad polem obraz oszczepu
jak odcisk
pędu wydłużonego na błękitnym sklepieniu.

Czy gniewu, czy wrogiej nieprzychylności
jest ten znak
drzewa młotanego w groźnym świetle?
By umknąć jego doskonałej celności
jak
uciekać?
gdzie pierś ustawić by obok być na ciosu przyście?

Zanim ciało poda się w tył
nasz wydłużony ruch ramion —
wroga wojenny gest
w zenicie się miną, w dwa oszczepy rozłamią
i popróbują ostrzami
miękkości nabrzmiałych na szyl żył.

W oczach skupionych, w nieomyślnej celności
widać:
krew się przelewa z człowieka do ziemi
— z naczynia do naczynia —
oszczep zstąpił z błękitnej wysokości,
przez burzę miedzianą się przedarł,
bokł porysował sobie piorunami rudemi
gdy je mijał.

Odarty z liści jesion w powietrzu trzepoce
kształt swój wydłużając w miarę rosnącego pędu —
wy nas, my was przenikamy drzewem jak miękkie owoce
aż ciało się w sobie nakłoni — kłęb do kłębu.

W wirze i świcie miotanych oszczepów
czy umknijemy wszystkim ciosom?
czy nadążymy się mijając z każdym pociskiem?
kto nas celnością stratuje?
jakiż wróg nas przepołoży
wtedy gdy — ?
gdy lęk i żądza większej ochoty przyda
ostrzom —
zguby stalowym kłosom —
które równieśni póty w nasze piersi sieją
póki ciało plecami rdzą pokrytego plonu nie wyda.

ADAM BIELECKI

TO BĘDZIE MIEJSCE ...

To będzie miejsce oswojone i leniwe.
Sady, folwarki i pastwiska gładkie.
Obite pluszem lata zabiegliwe lasy.
Tu poeci oczyma, jak na wygodnych poduchach,
rozślą się po wzgórzach okolicznych,
i łanami południa opici, jak pianistą piwem,
nazwą zgiętych kosiarzy oddech suchy
muzyką chlebną, drogę w pyle — popielniczką.
A skwar odpłył w górę łatwy i wzorzysty
dymem dobrego papierosa w miękim przedziale wagonu
od ust poety, pasażera pierwszej klasy.
Ta okolica mknie w nieznane, jak pociąg sobotni.
Syty — kręci się wentylator lipowego wiatru.
Z opłotków, ku rozrywce podróżnych, jak szelest gazety,
zdaleka i usłużnie pełnie szepc młodych zgonów.
Nad szachownicą pół schyleni poeci łagodni
zbyt trudną zmęczą się szaradą. Opadną w fotelach,
których zieleni rodzinna a deseń soczysty,
i przez niebieskie okno wyjrzą poza barwny przedział —
Ostonięci zachodem, mglistą tarczą miedzi,
przełamiają się przez szkło powietrza mleczne
w świat obszerny, zaziemski, mijany nocą,
pusty — tam jak bengalskie komety
młotają się rzeczywistości nowe, własne, codopiero zrymowane,
bezpłeczne,
jakich tylko zapragniesz...
— Lub przymkną oczy, w potok zielonej krwi wsłuchani,
niedostępny i skoczny, jak rytm kół jadących
pod tą okolicą.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Z POEMATU

POWRÓT NA POWIŚLE

Dobiegną Was te słowa ?

W równym rytmie pieśni
dosłyszycie tłumione tupotanie gniewu ?
Nie huczeć mi już dawnym weselem !

Nie wieść mi
snobów w mych poetyckich knajp srebrzysty niewód !

I.

Kipiący warem wszystkich wiosen — w siedemnastej,
idąc z siecią przez ramię, jakżem dał się podejść
przekupniom handlującym muzyką i blaskiem —
i za co sprzedawałem im rozlewną młodość ?
Na cóż to-m ja zastawiał i zaciągał sieć —
i co-m w spuszczoney węcierz ułowił z tej rzeki?
Poprzeclekał przez wątle oka i uleciał
mój drobny łup, jak lekki sen z dziecka powieki.

Płynęły, lśnić wężową łuską wielkie wody,
zagarniały szeroko ramieniem zuchwałem
w bulgotanie swych wirów dziecinnie ogrody,
a ja, leżąc nad brzegiem, — jak toną — patrzałem.
Pewnie-m wtedy to odkrył właśnie, że tak patrzeć,
to znaczy — jednocześnie i żegnać na zawsze,
bo nagle gniew oślepił i wściekłość poniosła
zwiedzonego : rzuciłem sieć, chwyciwszy włosa —
cały w jęzorach ognia — i tę broń podniosłem,
za zagładę ogrodów grożąc światu — włosem.
Lecz świat pozostał nadal zimny i spokojny,
nie lękając się śmiesznej o marzenia wojny.

Wody niosące bujne terrarium fantazji —
wachlarze kokosowych palm, Sumatry haszcze,
zwidziane baobaby, wegetacje Azji, —
połknął czas przez rozwarłe oceanów paszcze.
Przez kraje Reida, Maya, Coopera i Verne'a
nie popłynąłem z nimi w dzieciństwa stolice :
poznałem tylko byty słowem niewymierne.
Zostałem. Pokochałem warszawskie ulice —
i ten płomyk, co wówczas w piersi się zapalił,
tli się jeszcze do dzisiaj...

Ale o tem — dalej.

MARJAN CZUCHNOWSKI

Z POEMATU
ŚMIERĆ I POWÓDŹ

Pola gęsto ogrodzone nocą; brudnemi płotami,
w lichej ciemności połyskują mokro.
Rzeczkami srebrna mowa wody upada dzwonem w leszczynach.
Huczały scienione pola. Zimno zapachniały mgłami.
Daleki gwizd pociągu przeszył noc, opuszczając się na Czerwony Las.
Wilgotną dróżkę wiodącą na Huczne mocno czyjś naścielił krok.
Człowiek stanął miękko w opłotkach i w drzwi lekko zapukał raz —
nasłuchując odzewu w szarych budynkach, cieniach i kalinach.

* * *

Zganlają konie po nocy. Drogi miękną w huku kopyt.
Wątle kobiety dźwigają ku chlewom ciężkie cebrzyki.
Pachnie wieś wiadrami mleka.
Mrucząc, gniewnie dążą ku stodółkom niewyspani chłopci.
W szarówce pędzą z dojem dziewczęta na stację mleczną w wójtowej zagrodzie.
W chłodnym hałasie lśniącej wirówki jedwabny zwój śmietany
[nieprzerwanie ścieka.

Za czarną pustą linią widnokregu noc pada w ogrodzie.
W martwej samotni pól otwierają się wiejskie sklepiki.
Na Huczne w osiedlu Bojarskich już wstawali w izbach.
Szarówka srebrzyła cicho lekkim oddechem chmur.
Krzątko się koło gadziny. Pojono chude krowy.
W tylnej izbie lampka, aby mrugnąć, błysła —
i zgasła. Stary zaniemógł ciężko. Leży w białych płachtach i głośno narzeka.
Suszy go uwiad ciała i zawroty głowy.
Ze stajni słysząc jak Wikta ściąga do skopca białe dzwonki mleka.
Wiał zimny, świeży zapach gór.
W nogach ojcowego łóżka stoł Staszek w ciężkiej myśli zatopiony.
Wrócił dziś z K. . . . wezwany bolesną depeszą.
Suchemi, rozpalonemi oczyma ogarnia chory cień człowieka;
szarawe, bezkrwawe ręce, siną twarz i mglistych oczu cień zielony.
Drgnął . . . Nagle krzyk buchnął z sieni.
Wbiegła matka

* * *

Buczek szybko wybiegł z wójtowej zagrody. W biegu migła rola
przysłonięta laskami i rzekami zboża.
Uderzył go mocno nagły, czarny widok gór
świejących niejasno w szczerych, cichych polach.
Olbrzymi, ciężki grobowiec z kamienia i lasów.

Wokół niebo; sine dno płynącego morza
w posępnych brzegach rudych, smutnych chmur,
obniżano się w pola krwawą jamą, wewnątrz z gwiazdą burzy jasną.

* * *

Ciężki wieczór błysnął ostatnią kwadrą księżycą.
Biegną dojarki z wieczornem mlekiem na centryfugę.
Zaczyna padać cienki deszcz. Ulewa...
Ojciec pyta o syna. Matka łyży w ciemności cicho przemycą
i drży w szarej nocy, jak znużone drzewo.
Wikta wbiegła po szmaty. Dopieroco oprosiła się locha.
Słysząc idące pociągi i deszcz długo jak muzyczną fugę.
W ponurej nocy płacze ziemia i z nią siwa, stara kobieta szlocha.
Gdzie Staszek?... Trzeba konie zaprząć do zwózki...
Skłębiona ciemność zalała cmentarnie okna.
Stara kobieta porusza w ciemni martwemi wargami.
Wietek księżycą trysnął jak guzik z masy perłowej u ślubnej bluzki
i znikł tak samo nagle w płynącej ciemności lat.
Drżała na polach noc zimna, okrutna i mokra.
Chory jęknął. Znów szepce... Wołajcie Staszka... Słabo mi!...
[Głos w gardło spadł.
Deszcz... Grzmi za oknami.]

STANISŁAW BĄKOWSKI

LEKKOMYŚLNY LOT

Leci dusza nad ziemią nisko,
ziemi głosem ściągnięta wdół — :
zaplątała skrzydło w gałęzistość
chytrego krzu.
Złamane — delikatnej budowy
serdeczne nasady.
Jakże się wyrwać w przestrzeń?
Jak gałęzie rozeprzeć,
gdy rauna pierś nie da rady! —

Próżno bije zdrowe skrzydło w trwodze
o zawadzający konar;
cichym śmiechem drga haszcz rozrosły
w mnogich swych ramionach.
Krzewią się liście górą,
cieniem ciężące ponuro;
zasnuwają się jakby pokrywa,
że już prawie nieba nie widać.

Ojcie wszystkiego, co z przyziemia
oczy wypatruje za Tobą! —
ogładnij się za marną połową
pełną utęsknienia.
Nim się, w zmroku trzepocąc,
i to drugie skrzydło złamie
i ptak legnie groźnej niemocy chorobą, — —
Ty go z zasadzki wydobądź!
I, wolno skrzydło puściwszy nietknięte,
drugie podtrzymuj dłonią miłościwą
w locie, tak długo póki się nie zgoi.
Wtedy dopiero daj stworzeniu
sterować po własnej woli. —

IGNACY FIK

POPRZEZ MŁODOŚĆ

(FRAGMENT)

— dłużyły się żyły paprociom, wybuchały grzyby,
w liściach się stopy chłodziły źródłem wylęgiem, jak ptak,
w gałęziach trzepotał wrzask piskląt, spadał różowy blask:
w otworach konarów klin nieba:

wchodziłem w las.

Łuk lotu dzięcioła zakończył się tępem stukaniem,
gradem obrzękłym opadło stado opuchłych wron,
na stromej bani powietrza skowronek kuł ton,
liczyłem jaskótek nad wodą przelatywanie,
znałem ptaki:

ich dom

ich dzieł:

sam byłem taki.

Kiedy na ostrych gałęziach podarłem skórę rąk,
rany tuliłem do pleśni szorstkiej drzew kory,
upał czoła leczyłem w kręgach rozbitej wody:

lipiec leżał leniwie na brzdach wiklin i łąk —

ja wtedy nawznak powoli

płynąłem jeziorem.

Staw ma granice mułem zasiane i trawą,
linja wody drży nagle, gnje się szuwar,
kaczki płyną na prądu złotego łuskach,
karp się w czerwonych zadziorach słońca pluska,
— lecz kiedy fala przemija dwunasta,
świat się przestaje ku brzegom przesuwać,

zaczyna dniem ciepłym jak puchem zarastać,
wszystko się kończy ciszą,
słońca płynnego obława —
świerszcze serc własnych nie słyszą:
biegłem po grobli
lecz ległem na piasku zmęczony i dyszę.

senna melodja się zgina we fale i grzbiety,
wszystko mi wiąże chłonna i smukła wstęga,
do szczytu oczu sięga,
uwodzi szumem, zapachu dziwnego sekretem:
nie mówią wargi nawet szeptem,
uszy są nieskłonne i niepotrzebne,
wyciągam przed siebie ręce:
ślepe i srebrne.
woń trawy jest ciężka,
lecz nad nią leży druga zapachu warstwa:
powietrze —
powietrze ma zapach, który wdechają oczy —
zapach, który nazywam:

jasnością, obszarem, przeźroczeniem.

Horyzonty pękają jak flaszki,
zielona piana pęcznieje pod chmury,
przenoszę się znowu do cienia pod sosny —
stąd:
dopijam chciwym haustem
moją codzienną wiosnę.

Blask oczu połyska
ostatnim wieczorem —
muzyka:
odłamy wyniosłych dnia skał
ciosanych szybko i cicho toporem.
Oczy zachodzą matową powiek błoną:
spostrzegam, że ktoś robi
zmrok:

z godzln, które są wiotkie jak liście klonów.

Widnokrąg okręca się smugą zachodu,
dzień biały hebluje z chropawej kory,
cień szczyty topoli przesuwa do nieba
sen się przecląga mocnym pionem,
noc spada na żdźbła nad wodą
wyrażnemi nożami:

jest tajemnica,
lęk przed nią,
pokusa w zawitych sekretach:

nic nie wiem, nic nie wiem, nic nie wiem —
lecz przytakuję:
że tak.

STEFAN NAPIERSKI

PRZEDWIOSNIE

Struny deszczu łowią grzyby z gleby
Pod księżycem dotykającym, rozmięklej.
Łuna blasku stoi, mroczna szyba,
Pośród pni, prostopadle - rumiana.
Ślady stworów śledząc na igliwiu,
Cień przechodzi, chyży, roześmiany.
Pod obłokiem palą się główne,
Jak twarz jego, światłem olbrzymia.
Na polanie gruda zrudziła
Walczy z śniegiem, jak Kain z Ablem.
Gołe łoży futrem nabrzękły,
Wargi przytknąć, popielaty flecie!
Zatrzeszczały gałązki zroszone,
Dziwy ptaków na torfowisku.
Dwa włożywszy palce do gęby,
Gwiżdże podmuch w pieczarze zmierzchu.
Smuga płynie, czarne czołno płasko.
Nad wilgotnym, miłosiernym pierwiosnkiem.

ZBIGNIEW FOLEJEWSKI

M I A S T O

Jak to sprzegnąć?

Tysiąc chałup niskich do rzeki spelza, zapada w muł,
powódź bura szumi, podpływa w noc pod okna.

To wstęga

powiązała naprzeciw świątynie, fabryki, ryk kół.

Tu huk, elektrownię pióropusz dymu zatopił.

Mosty dwa zawisły nad mrok rybackich nor;
gdy wieczór, lecą latarnie zaułkami wdał na wzgórze.

Cień, różowe zakole,

blady cień, poświata wzwyż; wgląd centrum, dyszący motor.

Nie zajarzy blaskiem krwi, oblepił kurz i żar.

Dławi cicho i powoli.

JERZY PUTRAMENT

B A L

Gdy stu wąskobrodych tancerzy, wtulonych w lepkie ramiona,
w tangu ostatniem podłużnie o biodra zmęczone się tarło,
zzewnątrz sypnęła śnieżycą pasami z dachów zmleciona,
niebo skłębiło się w dole, na okna zamknięte parło.

Noc była bardzo pełna. Na placach, na drzewach i mostach,
na wiaduktach, przedmieścia przecinających półtukiem,
na szczytach kominów fabryk dalekich się ciemno rozpostarł
obłok, i pieścił miasto masywnym, cichym pomrukiem.

Trwożni skupili się w hall'u, drzwi wyginały się wewnątrz,
ręce zbieleły cisnęli, plecami na kłamki opadli,
zsunawszy się na kolana, przed nocą rozwartą i pewną
o dzień, o dzień najbardziej codzienny płakali.

HILARY HOFER

R Ó W N A N I E

Na koturnach zdań stąpamy. Prowadzą nas słowa - szczudła.
(Nasi praojcowie, gdy byli spragnieni, czerpali ze źródła).

Po małe, najbliższe słowo, najdalszą idziemy drogą,
Słowa bratnie, jak serca bratnie, zrozumieć się już nie mogą.

A przecież wchodząc w zawiłą drogę — idziemy do siebie.
Przecież to tylko ziemi szukamy, tak błądząc po niebie.

Nosimy ludziom w zanadru święte zwiastowanie:
Że świat i wiersz — to proste, pierwszego stopnia równanie.

I potężny i szczęśliwy triumf poezji obwieszczę.
Gdy słowo zabląkane we własnym słowie spowrotem umieszczę.

I krzyknę światu swą wielką metaforę, bez złud i omamień,
Ot tak: na drodze leży SZARY KAMIEN, jak SZARY KAMIEN.

PIOSENKI BEZ RYMÓW

1.

Wieczór nadciąga. Nad dolinami
Lecą żorawie.
O tej godzinie głębsza samotność
I głębsze niebo.

Jeżeli gwiazda teraz upadnie
Na czarną ziemię,
Wiedz, że to kwiaty ją zawołały
I spadła jasna.

Grzechem jest mówić o tej godzinie.
Trzeba być trawą,
Jodłą zieloną, słwym strumieniem,
Wiatrakiem szarym.

Trawa nie szumi, jodła nie dyszy,
Strumień nie szemrze,
Wiatrak nie woła ręką żorawi
Odlatujących.

Wieczór nadciąga. Nad dolinami
Lecą żorawie.
W krzyku ich chwytasz krzyk swej młodości,
której już niema.

2.

Dojrzałszy smutek
Jesienią,
Bo dojrzewają
Owoce.

Jabłko czerwone
Nad ziemią
To twoje serce
Promienne.

Czekasz na drodze
I czekasz,
Lecz tylko liście
Szeleszczą

I niema twarzy
Matczynej,
Jest tylko serce
I jesień.

Są tylko drogi,
Biegące
W szarą zadumę
Wśród płotów.

Nikogo niema
Na progu
I jesień ptaki
Rozgania.

Bez matki dzień, jak droga, jak wiatraki,
 Jak niebo i ogrody,
 Na twojem sercu kładzie się i szukasz
 Matczynej twarzy wszędzie.

Lecz ziemia niema twarzy twojej matki,
 Ani wysokie niebo,
 Ani korale jarzębiny młodej,
 Pałące się o świetle.

I może tylko twarz jej ma żebraczka,
 Która pod płótem stoi.
 Te same zmarszczki i tę samą troskę
 Pożółkła twarz jej dźwiga.

I już jak syn ją kocham i chciałbym
 Przygarnąć ją do serca,
 Jak wieczór całą ziemię tę przygarnia,
 Jej syn z miesiącem dłoni.

Lecz daję tylko jej jałmużnę lichą:
 Pięć groszy, a w jej oczach
 I w dziękowaniu jej, jak liście, drżącym
 Łowię bolesny wyrzut,

Jakgdyby matka moja się zdziwiła,
 Że — syn — jej nie poznałem,
 Ze tak mijają się tu nasze drogi
 Po śmierci jej. Daleko

Biegną ogrody, bo już zmierzch się zbliża.
 Ja pośród zmierzchu czuję,
 Jak mgła się mija z kwiatem, kwiat ze ścieżką,
 A ja z radością dawną.

ZBIGNIEW JASIŃSKI

G O R Ą C Z K A

Lepka nuda szpitalna do bladego rana
 sączy z mózgu czad duszny złoto-białych lilij
 i przeżera wnętrzości zwolna jak syfilis,
 słodkim sokiem psich grzybów znarkotyzowana.

— Wabłą kształty naw skrzydlatych:
 brygantyny i fregaty...

Myśli trzeba mieć chore, a serce jak szerszeń,
by podstępnie jad sączyć do kwiatnych kielichów,
rojem czarnych motyli pozatruwać wiersze
i rozpylać sny srebrne — o sznurze na strychu.

— Smukłych masztów dumne szczyty
potracają o błękity...

Czar drapieżnie się w wizjach przezroczystych jątrzy :
śliski, lepki, śmiertelny jak dotknięcie kobry —
Trzeba wszystko zapomnieć i mieć takie oczy,
co dojrzały zawczasie, że Bóg nie jest dobry.

— Rozpłynęły fale drżące
dawnych przygód tajną żadzę...

Pawie oczy okłamią, a jagody wilcze
karmić będą nadzieją wspomnienia ukryte,
zwisną w sieci pajęczej pragnienia gruzlicze,
płuca westchną liljowo smutku iperytem.

— Zapłynąłem raz fregatą
aż na koralowy atol...

Pośród trupich zachłyśnięć i złych oszołomeń
leczą ćmy - żałobnice w stos, co się rozpałił —
Do gwiazd strzela ponuro luetyczny płomień :
ręce same nerwowo szukają cjankall.

— Wygłętego róg miesiąca
fosforyczna fala trąca...

Tłuste mrówki czerwone i żarłoczne larwy
zgniałą płamą przyłgnęły do bladej tęsknoty :
niema złotej, błękitnej ni szkarłatnej barwy,
w bagnach toną fregaty i dumne dreadnoughty !

— Gonią za mew lotnych krzykiem
głodnych załóg oczy dzikie...

Oceany i lądy, laguny, antylle
sino wzdęły się kwaśnym ścierwem muchomorów —
Nim czarne bezszelestnie pomarły motyle,
srebrnym pyłem musnęły o powieki chore :

— Huśta głąb rozkołysana
zmiętym trupem kapitana.

STANISŁAW JERZY LEC

N O C

Noc płynęła na granatowych oddechach
Sny melodjami płucały mózgi
W pędzie twórczego pośpiechu
Krew ku sercu buchała bluzgiem

Z szynku Czajkowski incognito
Rozrzedzony słodką wódką
Ze skrzypiec na chodnik wyciekał
Szepną ci krótko:
Latarnia i cień — i to:
Poczekaj!

Ktoś nazewnątrz otworzył stare okno
Noc jak zwierzę węchem przenikał
Aż się oczyma o księżyc potknął
Co był tarczą narożnego cyrulika

Oto paradoks:
Dla bezpieczeństwa odsuń bezpiecznik browninga
I odsuń rzewne wspomnienia
Stałą palca opasz stal cyngla
Gdy wkroczysz w okupację cienia

Sekundy trzeszczą na pulsie
Spiesz się już dnieje
Wybierz i wyzwól się
Czy zapach poematu czy przedsmak epopel.

JERZY PIETRKIEWICZ

ZIEMIA DOBRZYŃSKA

Cyranki z Chełmicy Wielkiej niebu nadały kierunek
i resztki ostrego słońca w dzióbkach przyniosły do gniazd,
dzwon dworski błł w ciszę niebieską,
zwiędnięte liście echa spadały gdzieś koło stawu,
żegnane płaczem cyranek.

Po wzgórzach lipnowskich wiatr domy niskie od świateł gonił,
na mostku płytkim szelestem heblował spróchniałe deski,
gdy zapach łąk ruszał ławą
z Fabjanek.

Księżyc się odbił od wieży smutnego kościoła w Kikole,
z chmur ścierał stężałą noc.

Jak kretowiska szczekania psów się wznosiły na polach,
gryzły kół turkot na szosie.

Rypin.

Noc wiadrem dźwignięta z studni skrzypiała smętnie w zórawiach,
na rynku pochód akacyj i lamp ze światłem jak z psalmem.
Tymczasem w jeziorze Świętem tłum haszczy i tóż zakpiął,
podpełznął pod mury klasztoru i krzyczał, błęgnąc przy oknach.
Gaszono po izbach lampy,
mrokiem zamknęło się Skępe.

Wtedy Maryja wyszła z dobrego białą klasztoru,
z Dzieciątkiem na ręku szła wolno po rozmodlonych kruzgankach.

Noc się zgłębiała po rowach północną, tajemną porą,
mleśiąc światłem srebrzystym kosił przy strugach łąki.
Dnia 10 lipca akurat nad samem ranem
chory na oczy młynarz zobaczył Marję w Fabjankach.

STANISŁAW PIĘTAK

Z POEMATU

ZIEMIA ODPEŁYWA NA ZACHÓD

Płaty dni brzemiennie od słów na oczach. Pędziły mgliste chmury
w czarną nędzą drzew wyplakany wschód,
Z chałupy do chałupy szła żółknąca słońca: wieść, że jeden jest ranny,
a inny już zginął,
Łuny wschodzącego słońca co rano były w szyby — w niskich izbach
czał się mdłą wonią szczurów szczypiący głód.
Wyły kudłate psy i szczupli chłopcy głodne boki tarli jak sierść o płoty,
ustami gryząc dał chłodną i siną.
...Waszych męczących dotknąć nie zapomnąć — w mgłach zamieci
i huku drzew
dalekiego nieba nie przytulić ręką.
Przeczuła jesteście krzykiem ust czy płaczem wiatru? — (mały Władek
podniósł się na rękach i jęknął)
Nie odwracać się — oto w burej pustce nieba i ziemi śnieg leci
powiewną, szumiącą falą.

Akacje bosc i wiąz, w oknach jakby białe ręce — zapomnieć — nie
 podawać stęsknionych piersi żalom,
 co trują jak dotknięcie śplewu tamtych ust... — Zamknął oczy, już
 wiatr siwego zmięzchu płynie.
 W zwierciadłach drzących dni dym i gwiazdy — i serce drży cichutko :
 czyje imię ?
 Lata smukłe jak czerwcowy kurz — ach, wyjść za wieś, gdzie mówi
 słodsze nad wszystko płowe pole.
 Cisz a brzoź i wierzb jest szybą serc — w strumieniu zanosi zadumą
 chłodną jak surowe oczy wole.
 Zakrzyzc — poco ? Tu wszystko jest mądrością, rzeźwym jak zapach
 zmięzchu spokojem.
 Wystarczy rozchylić usta i ręce podać siwym kołom... Byłem taki młody,
 więc dlaczego nagie oczy twoje
 zdzierają ze mnie woń jak korę? — Zadrzał Stefan, pochylił się więcj
 i rękami przydusił widzeń mgłę.
 Łąka wiruje żółtym szumem jaskrów i pszczoł — trzmiel e — to jej oczy
 chyba są tak błękitne jak len.
 Zawisła twarz blada — ogród oczu, szept ust — po smukłym rytmie ciała
 wiatr rozpuścił szarfę spódniczki jak melodję.
 Jeszcze niebo o dotyku kwiatów... — Tak odtąd bolało mnie w oczach
 i u szczytu piersi codzień.
 Tę gorycz gdyby rozgryźć zębami, lecz nie... Otwarł oczy, znów skowyt
 akacyj, wiąz w zamieci utknął, stoi.
 Nie myśleć o tem, ach nie myśleć !... — przecież w młodych ramionach
 mam siłę dwóch koni.
 Łamać gałęzle jak słomę, do pługa się zaprząć — wtedy cisza może
 ten bunt ramion, bark i ud napoi.
 O oddal się ode mnie, rzeko zjaw! Dlaczego wpijasz mi się w usta
 drzeniem słabości i woni ?...
 To był śpiew jego oczu, lecz on myśleć nie umiał, upadł przeto na okno
 i w drzewa wbił zęby jak w chleb.
 Skarżył się smukły wiąz przed płotem, w skrzydłach śniegu spadała
 na uliczkę mglista zmięzchu burza —
 jemu wtedy zatętniły wieczorne konie, ramiona sprostował szorstki,
 chłodnawy wiew.
 — Wnet wiosna, ziemia popęka od ciepła, będziemy orać — usniechnął
 się — jak o sieć pieśni i mgły zanurzać
 zaczęły się okienka chałup. Szczupli chłopcy chodzili teraz po izbach
 i każdy sprzęt kasał nienawiścią
 i oczami.
 Długo w noc nie było ciszy. Psy wychodziły za wieś i żal swój nocny
 jak jękiem przysypywały pustemi polami.

STANISŁAW CZERNIK

CZERWONOGRÓD

Są róże i morele, — lecz pachną Turkami,
Gdy się wewnątrz rudery zatrzymać zbyt długo.
Milsze słońce. I milszy rudy ogrodniczek,
Kiepsko z ruska po polsku grzebiący wśród słów.
„Tutaj grafini zjeżdża co roku na lipiec.
I morele spożywa — i odjeżdża znów.
To wszystko, ano wszystko. Chyba żeby młyn.
Młyn to żyd, żyd to bogacz. I nic.
Spada woda po jarze. I bije ten płyn
W koła młyńskie rok cały. I już.
A więcej? Dużo dzieci, mało krów i świń.
No i tutaj moreli trochę, trochę róż.
Dla grafini. I kamień tu wkoło czerwony:
To od Turków, od wojny, od krwi.“

Biblioteka

UMCS

Lublin

Z POEZJI NIEMIECKIEJ

PRZEKŁADY ARTURA MARJI SWINARSKIEGO

CHRISTIAN MORGENSTERN

TRZY GROTESKI

CZAJKA

Przyśniło się czajce
Usiąść sobie na fajce.

A wiecie
Czemu to uczyniła
Ptaszyna owa?

Pewna dziwo-żona (dziś już dziwo-wdowa)
Zdradziła
Mi to w sekrecie:

„Proszę pana,
Ona wcale nie lubi dymu —
Ta osoba wyrafinowana
Dla rymu siadła, dla rymu.“

KOSTKA

Raz kostka czuła się nieswojo,
Gnębiło mianowicie to ją:

„Czemuż mym szóstym czworobokiem
Niesprawiedliwie pogardzono?
Bo zawsze w ziemi ciemne łono
Patrzy przynajmniej jednym okiem..“

Lecz na to ziemia, drżąc ze złości,
Odparła tak jejmości kości:

„O ty stworzenie w ciemię bite!
Złaż ze mnie — wtedy się rozjaśnię,
Mą ciemność powoduje właśnie
Czworobok twoich czterech liter.“

Kostka, dotknięta takim tonem,
Nie rzekła nic na swą obronę...

KM 21

Raz kruk na kamień milowy włożył
I począł krakać: ka-em-dwa-raz...

Wilkopał-cap przeleciał przez las,
A kruk wciąż krakać: ka-em-dwa-raz.

I morski knur, co się w cieniu past
Posłyszał: ka-em-ka-em-dwa-raz.

„Zwarjowali“ orzekli wszyscy. „Już czas,
By zlął z kamienia ka-em-dwa-raz“.

Potwierdził znachor, przybiegłszy wraz,
Że mózg mu zmiękł i uleciał jak gaz.

Konając kruk (bo na rękach im zgasił)
Wciąż jeszcze krakać: ka-em-dwa-raz.

Z HORACEGO

(W DWUTYSIĄCOLECIE URODZIN)

PRZEKŁADY TADEUSZA BOCHEŃSKIEGO

POCHWAŁA KOCHANKÓW

Nieszczęśliważ to dziewczyna,
co miłości nie pobłóży,
co w słodkiego czasach wina
żywobycia bied nie morzy,
lecz ją codzien, jak batogi,
język stryjów tnie złowrogi.

Tobie, szczęśna Neobulo,
krosna Amor skradł skrzydłaty
ani się twe palce wtulą
w koszyk przędzy kostrubatej,
gdy Minerwę i rzemiosło
Hebrus krasą ćmi wyniosłą.

Niech ramiona, pierś, golenie
Tybru splócze topieliskiem,
Bellerofon go nie zzenie,
nad Pegaza skłęczon pyskiem,
pięściarz nie przemoże ani
biegacz wichrem nóg przygani.

Umie młodzian, gołoborzem
gdy spłoszone wioną stada,
w łeb wycelić pod porożem,
że najtęższy jeleń pada,
umie w gąszczu matecznika
okrutnego wyzwąć dzika.

POBOŻNOŚĆ

Pod nów miesiąca gdy błagalne dłonie
wzniesiesz ku niebu, prostacza Fidylo,
gdy młody owoc, kadzidel się wonie
i krew prosięcia Penatom przymlą,

nie zagna wicheru zabójczego wino,
śnieć jadowita nie zaszkodzi ziarnom
ani pleszczone jagnięta pogną,
choć jesień stotę ześle ślamazarną.

Stado świątynne, które po Algidzie
w gęstwie się dębów pasie i jasioni,
niech pod siekiery ofiarników idzie
i krwi potopem ołtarze czerwieni.

Ty, małych bogów dobrotliwe czoła
wieńcząca mirtem albo rozmarynem,
o rzeź obfitą nie troskaj się zgola
ni o złożonych poroży daninę.

Ponad wystawne szczęśliwsze ofiary
jest dłoń biedaka, której grzech nie plami,
i łatwiej gniewne przejednywa Lary
sól ze świętymi płonąca krupami.

NIEŚMIERTELNOŚĆ

Nieliche, niecodzienne poniosą mię loty,
dwukszałtego pieśniarza, w eter modrozłoty:
uwolnion od zawiści, co padół porasta,
rzucam te miasta.

Ubożej krwi potomek, Mecenasio miły,
którego twe królewskie ściany hołubiły,
nie skona ni stygljska w podziemnej go mroczy
topiel otoczy.

Już mi po nogach szorstka sadowi się skóra,
jużem łabędź i śnieżne skrywają mię pióra,
już ramiona i dłonie skrzydeł się nad wami
tęzą wiosłami.

Już, lotu od Ikara pewniejszy, hukliwą
toń Bosporu, już Syrty pod szumowin grzywą,
już pół hiperborejskich przepatruję płosy,
ptak cudnogłosy.

Znają mię butne Daki, kresowe Gelony
i Kolchy, co Kaukazu zaludnili skłony,
zna mądry Iberyjczyk i Gall, co się dzbanem
brata z Rodanem.

Czczemu niech pogrzebowi nie drużą biadania,
szpetny płacz i żaloba, co słońce przysłania.
Strzymaj okrzyk i troski zaniechaj o marną
służbę cmentarną!

KOLUMNA DEBJUTÓW

Wobec licznych zapytań wyjaśniamy sprawę, zdawałoby się, jasną: Kolumna debjutów przeznaczona została dla najmłodszych (nie znaczy: wiekiem) poetów, których pali — zupełnie zrozumiała — gorączka druku. Najwybitniejszym z nich dajemy miejsce. Należy przysyłać nie pojedyncze wiersze, lecz wybór najdoskonalszych w ilości conajmniej 15—20, gdyż tylko w tym wypadku możemy wybierać i decydować o przyjęciu. „Debjuty“ w czasopiśmie, przygodnie zajmujących się poezją, nic nas nie obchodzą.

W numerze niniejszym wprowadzamy do grona naszych debjutantów Grażynę Terlikowską i Mieczysława Żytkę.

GRAŻYNA TERLIKOWSKA

BUDUJĘ DZIEŃ

nížej
cień na piasku melodje zawodził
melodje ubrane w skrzypce
sen
— zdmuchnięty światłem nletoперz
uniół się na wysokość ręki
a noc
na gałęziach wyzwolonych cieniem
podaje księżyc:
zapalam nim papierosa.

słucham
lip
świtających pszczołami
trawa sunie w górę jak rtęć
czytam
mgłę koronowaną ćmami
na brzożowej korze wypisane losy.

idę
toporem gwiazd obalam godzinę nocy
buduję dzień

WYJDZIESZ NIEBU

wydarłam ciebie ciszy
wtedy
niebo spięte ostrogą w półksiężyc
jawiłaś
półkolami ramion.

tamtym oczom o milczenie dalszym
nie podołam
zwiększonem ciśnieniem krwi
wyjdiesz niebu naprzeciw
ty
mnie
nie odnajdziesz
oskrzydłona horyzontem brwi.

MIECZYŚLAW ŻYTKO

WSPOMNIENIE

Wszystko to było takie proste :
Pachnący maj obudził się na wiosnę.
Zakwitł pod oknem białym astrem
i sercu memu rzucił dar drogocenny,
gorący,
jak letnie słońce wiszące nad miastem,
zieleńszy nad ogród senny
gest przyjaźni.

Dziś, już to wszystko spopieląło.
Dawno umarło —
tą wiosną pachnącą nie dźwięczy.
Wspomnieniem snuję nitkę białą —
Cóż robić więcej ?

OGRÓD W NOCY

Korony grusz srebrem nasiąkły od rosy.
Po grządkach i gałązkach lewkonji
płynie szept cichy,
jakby szept liści pelargonji.

W słońcu niewidome oczy —
oślepte kielichy,
chwiejąc się zlekka płakały wilgocią.
Chłód z liści jak z powiek sen płoszył

Przed nocą —
oschła wilgoć pnączy
wyciągała zemdlone gałązki —
jak po kilka groszy.
W nich słowiki drzemią.
Po nocach słyszę ich śpiew :

Ziemió,
poco wyrastasz nad siebie koronami drzew ?

RECENZJE

JERZY ZAGÓRSKI. PRZYJŚCIE WROGA. Poemat - baśń. Nakładem tygodnika „Państwo pracy”. Warszawa 1934. Str. 53 i 3 nl.

W r. 1933 Jerzy Zagórski debiutował tomikiem „kapryśnych i ambitnych” wierszy młodzieńczych: „Ostrze mostu”. „Przyjście wroga”, nazwane poematem - baśnią, jest wyrazem dalekosiężnych aspiracji utalentowanego poety.

Wartoby się pokłócić z poetą o podtytuł: poemat - baśń. Można by twierdzić, że ten poemat nie jest poematem, a baśń — baśnią. Utwór pozabawiony jednolitej kompozycji, zszyty z różnorodnych wątków, chociaż skupionych, lecz luźnie i mglisto, około niewyraźnej osi tematycznej, nie będzie poematem, gdy za główną jego oznakę przyjmiemy tę właśnie tematyczną oś, która ciągle zrywa się, ginie, zanurza we mgle, by znów następnie na chwilę zarysować się. Jeżeli jednak skupmy uwagę nie na tej osi, lecz na otaczającej lub zakrywającej ją mgle, i tę mgłę uznamy za główny temat utworu, możemy zgodzić się z autorem, że „Przyjście wroga” jest poematem. Upoważnia nas do takiego określenia również wyjaśnienie autora, dane w widzeniu pierwszym:

Mową najbardziej potoczną, daleką od ozdób i śpiewu,
która jest zwykłą spowiedzią a tylko dla was to szyfr...

Jeżeli nie jest to gra słów a świadoma deklaracja (w co wątpię), będziemy w zgodzie z autorem, nazywając „Przyjście wroga” poematem mgły. Czy można ten poemat nazwać baśnią? Raczej — nie, lecz może znówu to szyfr? Nie baśń, lecz nagromadzenie momentów quasi-fantastycznych: widzenia, sny, zjawy, przepowiedni. Widzenia te uważam za zbitki fantastycznej magmy, stwierdzające raczej ruchliwość myśli poety niż właściwe fantazjotwórstwo. Poddawanie się magji egzotyizmu, nadzwyczajności, wyjątkowości. Jest to właściwie tęsknota do przeżyć. Zjawisko zupełnie naturalne, usprawiedliwiające do pewnego stopnia młodzieńcze wyzywanie się w wierszu. W rezultacie daje to rimbaudowski chaos treści, zachłanność, pożądanie uchwycenia wszystkich zjawisk i ułożenia ich w zwartą całość. Taka szalona ambicja wszechogarnienia może się zrealizować chyba tylko w poezji szyfru, a zatem otrzymuje się coś w rodzaju symbolizmu. „Potop, lawina, muzyka zodiaków, zjawisk i cyfr”. Ale w ostateczności potop nie jest potopem, muzyka zodiaków nie okaże się muzyką zodiaków, będzie natomiast potop mgły, muzyka mgły, — bo tak kończy się symbolizowanie. Wynik ostateczny: gra słów. Czysta gra słów ma taką właściwość, że zawsze z niej można ułożyć taką czy inną logiczną całość, t. zn. można ją usprawiedliwić. Nawet więcej: można jej nadać nieskończoną ilość oznaczeń, lecz taka „dążność do nieskończoności” jest dążeniem do pogranicza między wszystkim a niczem. W tym wypadku artystyczne opracowanie takiego zespołu grających słów można nazwać szyfrem, symbolizmem, surrealizmem, futuryzmem, wreszcie mirosladami bez obawy popełnienia pomyłki. Istnienie takich dzieł literackich jest usprawiedliwione. Wypada je jednak traktować jako odrębny rodzaj. Utożsamianie tego rodzaju z fikcyjną nową liryką wydaje mi się bezcelowe. Właściwszym zapewne byłoby ściśle odgraniczenie tego rodzaju poezji czystej gry słów od innych rodzajów.

„Przyjście wroga“ daje kilka przykładów, że autentycznie czysta gra słów, uwolniona od łatwych naleciałości quasi-fantastycznych, od „potopu, lawiny, muzyki zodiaców, zjawisk i cyfr“ może dać utwory sugestywne:

A potem już było ludzi tak mało na nowej ziemi,
że jeśli ujrzano na wietrze krzak drżący, nikczemne drzewko
do świerka wołano: chłopcze, do brzoźki wołano: dziewko,
I życie drzewne do piersi ciśnięto dłońmi drżącemi.

Liczne fragmenty poematu Zagórskiego świadczą o wybitnym talentie. Nprz. „Sen o taborze“, z którego przytaczam fragment:

Pociąg łomotał pod świt,
z prawej strony leżało bagno,
co nam śpiewać, jak nie pieśni wojenne,
Agno?

Pociąg łomotał pod świt,
Takich kwiatów nigdzie nie widziałem,
takich traw.
Co nam śpiewać, jak nie pieśni wojenne,
hodowane w poświęście bitw,
o Maruszcze, o kociaku białym,
Agno?.

JERZY PUTRAMENT. W CZORAJ POWRÓT. Wilno 1935. Nakładem Zw. Zaw. Literatów Polskich. Str. 30 i 2 nl.

Pierwszy występ książkowy mniej dotychczas znanego członka słynnej wileńskiej grupy zagarystów. Książka nie jest wyrazem jednolitości ani w zakresie materiału treściowego, ani pod względem formy, pełna najróżnorodniejszych odcieni, wpływów, naleciałości, słowem — poszukiwań utalentowanego poety, który nie znalazł jeszcze własnej drogi. Putrament przeszedł dobrą szkołę: obrazowanie wypracowane starannie celową, zimną myślą eksperymentatora w laboratorium poetyckiem. Widać poddawanie się konieczności zdyscyplinowania, nieodzownej karności, bez której sztuka poetycka przemienia się w gadaninę poetyzujących przekupek. Ale sama zimna konstrukcja i najbardziej precyzyjne wykończenie szczegółów staje się czasami u Putramenta doskonałym rzemiosłem: „trzeba się wprzęgnąć w pomarańczową parabolę dnia“.

Poszukiwanie obrazów efektownych w stosach papieru, w geografii, w kartografii, w etnologii świadczy, że zasoby własnych przeżyć poety z trudem jeszcze dochodzą do głosu. Poeta chwytła materiał zastępczy, nieraz najłatwiejszy. Rezultat: egzotyka oleodrukowa. Pentaptyk „Teogonia“ jest nawet sumą takich oleodruków: Valparaiso plus Kalifornia plus Afryka plus biegun. Był taki pisarz, który siedząc w Warszawie pisywał listy z podróży do Norwegji, Egiptu, Tunisu. W podobny sposób, niewątpliwie ułatwiony, Putrament daje nam nprz. obrazek etnograficzny:

Do ślubu stroiła się starannie. Miała płaski, szeroki nos,
grube wargi wydęte, duże stopy i chude golenie.
Na piersi wytatuowano krokodyla, wysoko włosy upięta jak most,
przez nozdrza przewlokła dwa cienkie mosiężne pierścienie.

Nazwałbym to rymowaną ossendowszczyzną. W niektórych wierszach widoczna skłonność do truizmów i złotych myśli: „trwać to znaczy mijać“, „życie jest piękne“, „tak samo trudno sto lat temu i dziś“, „za młody był, aby zrozumieć, że szczęście jest pożądaniem“. Takie złote myśli wplecione czasami w ciężkie zestawienia opisowe dają materiał nużący.

Właściwy kontur poety rysuje się natomiast w wierszach o charakterze refleksyjnym. „Wakacje“, „Filologja“, częściowo „Wigilja“ odsłaniają przyszłą twarz poety. Taki można postawić horoskop. „Filologja“ pełna prawdziwego liryzmu może być przykładem, jakie pierwszorzędne wartości może wnieść do poezji głęboka refleksja. Może i tu mać trochę „Karakorum“, ale można tę górskość wytrzymać.

Początkowa twórczość poetycka zawsze jest okresem zawikłań, poszukiwań i wpływów. Nawet genialny Rimbaud nie uniknął tego okresu. Nietylko szczyty, nawet depresje debiutu Putramenta znamionują piękny talent, nawet tam gdzie poeta poddaje się efektom egzotyki z dwudziestej ręki. Wpatrując się w szczyty, dostrzegamy w Putramencie materiał na pierwszorzędny liryka refleksyjnego.

TADEUSZ SZANTROCH. PO CZABAŃSKIM GOŚCIŃCU. Nakładem Tow. Miłośników Książki w Krakowie 1935. Str. 70 i 2 nl.

Cykle: „W Beskidzie“, „Po czabańskim szlaku“, „Kraków“, „Matce mojej“, „Momenty“. Ideologię swej twórczości przedstawił autor swego czasu w „Głosie o mitach, faktach i możliwościach“ (Czartak z 1928) „Beskid to nasz Piemont, z którego wychodzimy ku odrodzeniu najpierw własnemu“. „Ziemia, o którą się opieramy, ta wielka czyścicielka, wchłania wszystkie zbyteczne, nieistotne w nas cynizmy, kłamstwa, małości, przeczulenia, próżności, głupstwa, choroby i kaprysy. Oczyszcza z nalotów nasze uczucia, myśli i wolę, które w obliczu żywiołów elementami znowuż się stają. O! jak cieszy ta swoboda, to uwolnienie się od kajdan samoudręki cywilizacyjnej, jak urasta w nas poczucie własnej siły! To ziemia tego dokonuje: ona czyści, odradza i w siły uposaża.“ Ideologia nie wytrzymała próby życia, Beskid nie stał się Piemontem, apostołowie rychło wrócili do „samoudręki cywilizacyjnej“ miast. Poetyckie echa tego apostołstwa dziś są już wczorajszością. Ta cecha wczorajszości nie ubliża oczywiście wierszom Szantrocha, cyzelowanym starannie według zwyczajów z przed ćwierćwiecza, ale zawsze w miarę, z dokładnością nie przechodzącą w nadużycie formalne. Gdy zważymy, że pierwszy tom poezyj autor wydał w 1906 roku, będzie nam zrozumiała wczorajszść wypowiedzi odchodzącego poety. Niektóre wiersze czyta się mile, jak niezłą powieść z dawnych czasów, zwłaszcza cykle beskidzkie. Inne są słabsze. Ciekawy jednak jest wiersz końcowy „Staloryt“.

JANUSZ A. RYMSZA. PURPUROWA SONATA. Warszawa. Nakładem Domu Książki Polskiej, 1935. Str. 48.

Cierpienia młodego Wertera: „niech męka moja ucichnie wśród pól“, „oczy moje zmęczone i smutne“, „serce skrwawione“, „ból mój rozświetla krwawy“, „pożar wnętrza kraterny“ i tym podobne wynurzenia przypominające Słowackiego „serce rozbite i krwawe“ i pytanie „gdzie znaleźć miejsce na smutek łaskawe“. Takiem miejscem wydaje się poecie wieś, „gdzie lud

mroki rozjaśnia łaknący, o oczach nieosuszonych, bólem, jak żądlami po-
cięty komarów". Może ten zwrot ku wsi wiąże się jakimiś niemi z przy-
godną czuchnowszyzną: „noc roztargana palcami wiklin świt wplotła w
w srebrny parów" lub „na kamieniach dymiące dwojaki: zorze". Ale to
tylko wyjątki. Przeważa „chimeryczność": „zajękną niedopite puhary trą-
cone o kryształne brzegi", „w zwidów północ jadę", „preludjum z kos-
micznej snute chwili", „powieść życia szeleści jak mgieł winem zapalony
ton kryształu słodki". W ten sposób od początku do końca. Rozumiemy
poetów odchodzących, którzy młodość i lata dojrzałe przeżyli w zaczo-
wanym kręgu młodopolszczyzny, i dzisiejszym językiem mówić nie potra-
fią. To prawo weteranów, których salutujemy. Poeta młody, który tak
pisze, popełnia anachronizm, taksamo jakby śpiewał, „te dzwoneczki, te
liljowe" lub „komu ślubny splatasz wieniec" lub „sobie w domu gędził
aby zły humor odpędził". A to znowu nie znaczy, byśmy namawiali poetę
do zeskamandrowania lub zawangardowania się. Stwierdzamy tylko, że
poeta jest naśladowcą mistrzów poprzedniego pokolenia, którzy swój język
poetycki tak udoskonalili i wyczerpali, że dla nas nic nie zostało do zro-
bienia w tym zakresie. Wkońcu dodamy, że autor wydał już w 1932 r.
tom „Zbudzone orły". Utrzymując w mocy wszystkie wyszczególnione zas-
trzeżenia, stwierdzić jednak należy, że „Purpurowa sonata" oznacza postępek
w porównaniu do poprzedniego tomu.

STANISŁAW CZERNIK

CZYTELNIK MA GŁOS

Byłoby pożądanym, by i szary czytelnik znalazł od czasu do czasu
gościńcę w „Okolicy Poetów". Czytelnik mógłby się dzielić wrażeniami,
poeta poznawałby „odbiorcę" i nie czułby się samotny.

W trzech numerach „Okolicy" poznałem kilka pięknych wierszy i
sporo takich, które nie poruszyły mego „zmysłu estetycznego". O tych,
oczywiście, nie mam nic do powiedzenia. Podobały mi się wiersze: Tuwima
Piechala, Zagórskiego, Ozoga. Ale chcę napisać tylko o wierszu Pięta-
ka, gdyż jego „Wyznanie" dostarczyło mi podwójnych, a może potrójnych
wrażeń.

Przedewszystkiem Pięta-
ka początkowo ogromnie mi się nie podobał.
Nie mogłem się przyzwyczaić do jego wielosylabowców długich jak ta-
siemce w poemacie „Ziemia odpyływa na zachód". Mówiłem: może to jest
poezja, ale to nie jest wiersz. „Wyznanie" przeczytałem z nieprzychylnością
i z trudem — takie dwudziestokilkozgłoskowce! Nieprzyjemnie uderzył mnie
zwrot o krowach: „tak wzruszał oczy widok w błękitny wieczór zapatrzo-
nych krów". Niepodoobały mi się też wyrażenia: „zmysłami ścigany chło-
piec", „zachwyt dziewczęcej krwi" — tego nie lubię. Ale ostatecznie wiersz
ten wydał mi się dosyć miły, i potem znów go przeczytałem. Drażnienie
mnie „krowy" wytłumaczyłem sobie przesadą, a może niewielką stycz-
nością z bydłem. Nigdy się niem nie zajmowałem i zawsze je omijałem.
Rozumiem jednak, że mogą być ludzie, których widok krów może wzru-

sząc, jak mnie naprz. widok pięknego konia. Więc się z tem pogodziłem, i autor odrazu wydał mi się sympatyczniejszy. Gorzej było z formą. To jest widocznie też kwestja przyzwyczajenia. Zawsze miałem do czynienia z wierszami krótkosylabowymi. Pamiętam, swego czasu irytował mnie jakiś zwyczajny czternastozgłoskowiec, dopóki nie nauczyłem się go czytać, — potem mi się nawet bardzo podobał. Podobne przejście miałem z wierszem Piętaka. Rytmika tego wiersza wymaga opanowania przez czytelnika. Dziś czytam wiersz swobodnie i przyznaję, że ta rytmika coraz bardziej mi się podoba. Nie wyobrażałem sobie przedtem, by można było 24-zgłoskowiec wypowiedzieć jednym tchem. „A jednak tak mi żal, że wiotkie dni pierwszego wzruszenia są tak daleko poza mną“. A jednak da się to wypowiedzieć jednym tchem (pewnie się nie wyrażam fachowo) i brzmi to oryginalnie i efektownie. Gdybym był krytykiem, podkreśliłbym to, jako dużą zaletę wiersza. Czytałem, że poeci występują przeciw starej metryce. Nie znam się na tem. Ale przychodzi mi myśl, że przecież można chyba dojść do nowych metrów, że taki wiersz, jak cytowany 24-zgłoskowiec (a można by go udoskonalic: skrócić o dwie lub cztery sylaby) możeby się przyczytnił wreszcie do utworzenia polskiego heksametru, bo dotychczas poeci nasi nie dawali sobie z nim rady.

JERZY BROCKI

W PRACOWNIACH POETÓW

Józef Birkenmajer: „Wydaję po wakacjach zbiór poezyj „Pede libero“. Są to wiersze przeważnie z roku 1929 (pobył we Włoszech), ale są też i inne (nawet z 1915 r.). Niektóre były drukowane w „Kurjerze Poznańskim“, „Kurjerze Warszawskim“ i in. Zbiór ten wyjdzie we Lwowie. W Krakowie wychodzi (nakładem Ks. Jezuitów) mój przekład zbiorowego dzieła „Katolsche Leistung in der Weltliteratur den Gegenwart“ w wersji polskiej opracowanej przez O. Forst-Battaglję. Jest tam zmieniona część niemiecka, a część polska rozrosła się do rozmiarów całego tomu (w wersji niemieckiej było tylko 20 stron o literaturze polskiej)“.

Adam Bielecki: „Pisząc do działu „W pracowniach poetów“ popełnię niekonsekwencję: obecnie zajmuję się raczej matematyką, tak że „poeta“ narazie bywa nawet intruzem. Mimo to, może będę mógł wydać nowy tomik wierszy pod koniec b. r.“

Stanisław Ryszard Dobrowolski pracuje nad poematem „Powrót na Powiśle“, z którego drukujemy fragment w numerze niniejszym. Poemat ukaże się na jesieni w druku, jako następny tom poezji autora „Autoportretu“.

Kazimierz Andrzej Jaworski kończy antologję przekładów z poezji rosyjskiej, wybór przekładów z poezji ukraińskiej, a jesienią zamierza wydać tom wierszy oryginalnych „W połowie drogi“.

Jan Kott: „Przygotowuję tomik. Nazywać się będzie: „Podwojony świat“. Wyjdzie najwcześniej na Boże Narodzenie. W lipcowym „Prze-

gładzie Współczesnym" drukują obszerniejszy szkic o drogach rozwojowych krakowskiej awangardy".

Stanisław Jerzy Lec wydał zbiór satyrycznych wierszy „Zoo”. Obecnie zaczyna pracę nad poematem satyrycznym „Scenariusz dnia”. Przygotowuje artykuły informacyjne o polskiej lewicy literackiej dla niemieckich pism emigracyjnych.

Józef Mondschein, tłumacz poetów duńskich na język polski, pracuje nad przekładem utworu J. P. Jacobsena p. t. „Polka”.

Jacek Marja Orlik wydaje tom wierszy „Mgła nad sercem” oraz przygotowuje tomik wierszy poleskich „Nad Polesiem cisza”.

Marjan Piechal: „Napisałem: tom liryk „Z samego dna”, rozprawę o Norwidzie „Żywa urna. Rzec o społecznym sensie twórczości Norwida”, dramat „Pieniądz i rewolucja”, który ma wystawić jesienią teatr Comoedia w Warszawie. Piszę: tom wierszy społecznych „Mity i halucynacje” i poemat o Śląsku”.

Artur Marja Swinarski tłumaczy i wprowadza niemieckiego poetę Christiana Morgensterna, autora niezwykle oryginalnych grotesek. Wkrótce wyda tom satyr i fraszek „Proszony obiad”.

POEZJA W CZASOPISMACH

POEZJA I PSYCHOANALIZA. Na jak niebezpieczne bezdroża schodził nieraz krytyka dał nam świeżo przykład Bolesław Miciński w nr. 27 „Prosto z mostu”. Miciński, recenzując „Alfabet oczu” Piętaka, zajął takie stanowisko: „...wiersze Piętaka mimo jego niewątpliwego talentu wymykają się ram estetycznej oceny i stanowią wyłącznie przedmiot badań psychoanalitycznych”. Potem recenzent przytacza „persewercje”: autor użył 70 razy słowa „oczy”, kilka razy słowa: pociąg, glista, pijawka i tp. Wreszcie: „Nie będziemy wyciągali wniosków i komentowali mimowolnej spowiedzi jakże nieostrożnie rzuconej na papier. Jedno bowiem jest pewne: gdyby autor zdał sobie jasno sprawę z psychologicznego sensu obrazów obarczonych tak zw. „niecenzuralnym przeżyciem” ... — zniszczyłby nakład i przestał pisać”. Większej dowolności w ocenie dzieła literackiego, tem przkrejszej ze obwarowanej autorytetem psychoanalizy, aparatem rzekomej naukowości, nie spotkaliśmy. Nic łatwiejszego, jak podobną „metodą” każdemu pisarzowi dowieść, że popełnił straszliwe rzeczy, nieprawdopodobne przestępstwa. Oto przykład stosowania „persewercyj” metodą autora. Bolesław Miciński wydał tomik bardzo sympatycznych utworów „Chleb z Gletsemane”. Gdyby autor wiedział, jakie straszliwe persewercje spotykamy w tej książeczce! Oczy i robaki Piętaka to istna niewinność w zestawieniu z temi makabryzmami. Oto proszę: „zakrzepłą krwią zbrzyzgane jarzębiny”, „ziemię sperloną krwawym potem”, „kwitnie płonącym krwawo krzewem”, „krwawią się pierwsze gwiazdy”, „krwawemi łzami”, „pot krwawy padł”, „okryty krwawym potem”, „w krwawo płonących chmurach”, „krwawemi łzami”, „ręce moje krwawią”, „krew kapie”. Pełno krwi. Skąd ta krew?

A inne perseweracje — oczodoły, trumny, trąd, czaszki, szubienice. A teraz zapytamy metodą Micińskiego: czy autor zdaje sobie sprawę z psychologicznego sensu tych perseweracji? Ale to są żarty, nie analiza krytyczna ani psychoanaliza, tą metodą nie można „badać” dzieła literackiego, ani nie można na podstawie przypadkowych zestawień twierdzić, że nprz. Piętał cierpiał na jaglicę a Miciński dopuścił się rozlewu krwi.

KAMENA. Czerwcowy numer „Kameny” kończy dwuletni okres działań tego pisma, które pierwsze budziło u nas poezję po długiej śpiączce i halucynacjach w zamkniętych ogródkach wybrańców. „Kamena” pierwsza zerwała w 1933 roku ze sztucznym elitaryzmem grupek poetyckich, które przy pomocy nieodpowiedzialnych krytyków przez długie lata monopolizowały i kompromitowały poezję polską. Życzymy „Kamenie” dalszego zastuzonego powodzenia i samowystarczalności. W nr. 10 utwory poetyckie Jaworskiego, Daukszy, Mikułki, Napierskiego, Czuchnowskiego, Bąkowskiego Gwoździńskiego, Hertza, Słobodnika, Sarneckiego i Spiewaka.

ANTENA POETÓW w tygodniku „Na szerokim świecie” dobrze zaśluzowała się poezji, popularyzując świetne wiersze Czechowicza z cyklu „Prowincja noc”, znanego tylko nielicznym miłośnikom poezji.

ZET, dwutygodnik pod red. Jerzego Brauna, wznowił „kolumnę poetów”, dając w nr. 6 (78) wiersze Czechowicza, Madeja, Michalskiego, Mrozowskiego i Piętał.

DWAJ KRYTYCY. W polemice o poezję awangardową zabrał głos Jan Brzękowski na łamach „Kurjera Porannego” z dnia 19 czerwca, pisząc między innymi:

Przed kilku miesiącami ukazała się książka Jean Cassou p. t. „Pour le Poesie”. Pojawienie się tego tomu zbiega się prawie z datą ukazania się artykułu Zawodzińskiego o liryce, zamieszczonego w LVI n-rze „Skamandra”... Cassou nie może być podejrzany o specjalne sympatyzowanie z jakimkolwiek kierunkiem poetyckim, ma więc wszelkie warunki do zachowania obiektywności. Ten obiektywizm pozwala mu na słuszne ocenianie znaczenia nowych poszukiwań. Wychodząc z Apollinairowskiej definicji „sztuki najbardziej energicznej”, Cassou pisze we wstępie swojej książki: „Jeśli sztuka najbardziej energiczna wciąga w to, co krytyka nazywa ślepeni uliczkami, to rozwiązaniem sprawy nie znajduje się nigdy w reakcji, lecz w wytrwałości i jasnowidzeniu! Uliczka bez wyjścia w dziedzinie ducha istnieje zawsze poto, by siłą z niej znaleźć wyjście. Dlatego Cassou sądzi iż „jest niesłusznie udzielanie zaufania formie poetyckiej, skoro tylko się w niej czuje ruch wstecz lub nawet ustalenie się”. Francuski krytyk podkreśla następnie konieczność przyjęcia postulatu niezbędności ciągłej zmiany i wiecznego tworzenia, aby potem jasno powiedzieć, że sztuka posiada wartość nie tylko przez sposób, „w jaki — w danym momencie — napelnia swą zawartość, ale przez sposób, w jaki ją przekracza”. Wręcz przeciwną metodę obrał p. Zawodziński w „Skamandrze”. Pragnął on dać syntetyczne spojrzenie na poezję i równocześnie wytknąć awangardzie jej błędy i dogmatyzm. W rezultacie nie udało mu się ani synteza, ani wyprawa krzyżowa przeciw awangardzie. Próby syntetycznego ujęcia poezji są zresztą jak się zdaje — własnością nietylko p. Zawodzińskiego, ile p. Jules Gaultier . . .

W polemice z awangardą Zawodziński nietylko nie wykazuje chęci zrozumienia nowej poezji, ale posługuje się nawet niezbyt wybrednemi chwytami i dowcipami. „Chętnie przyjmę każde krzesło zaproponowane przez artystę wzamian banalnego i ordynarnego stołka, na którym siedzę — pisze p. Zawodziński — zaprotestuję jednak, gdy mi będą podsuwać pod siedzenie zaostriżony pal, choćby nie wiem jak zachwalano piękno drewna i wytworność jego kształtu”. To „wzamian krzesła”, „przyjmę krzesło” i tym podobne zwroty — świadczą niezbyt chlubnie o polszczyźnie autora, a skłonność do „siedzeniowych” metafor każe obawiać się, że p. Zawodziński wyczuwa poezję jedynie ową częścią ciała, która z krzesłem najczęstszą miewa styczność, bo temu odczuciu brak zarówno subtelności, jak i dobrej woli... Narazie możemy tylko żałować — kończy Brzękowski — że nie da się zrobić zamiany: naszym przyjaciółom Francuzom ofiarować p. Zawodzińskiego, a wzamian za to zabrać nad Wisłę p. Cassou.”

LIPCOWY SKAMANDER sprawia wrażenie raczej Poskamandra, jeżeli wziąć pod uwagę utwory poetyckie. I tak może lepiej: poskamandryzm to już oznaka ruchu, który przedewszystkiem wnoszą najświeżsi pół-poskamandrycy, Łobodowski i Jastrun, wyrastający na główne kolumny czasopisma. Zresztą skala umieszczonych wierszy rozległa: od bardzo dobrych do słabych i słabiutkich. Nasi poeci, nawet ci którzy posiadają istotnie piękne talenty piszą dużo słabych wierszy, jak mam możność codziennie stwierdzać przy redagowaniu „Okolicy Poetów”. Łatwiej napisać dobrą rozprawę niż możliwy wiersz. A nieraz t. zw. poroniony wiersz dobrego poety jest wyrazem trudnych zmagani nietylko z nieugiętym słowem i wątpliwościami teoretycznemi lecz także z ciężarem trudnej codziennej walki o byt. (Niedawno jeden z poetów młodych opowiedział mi jakimi łzami oblewa codzienny chleb, inny pisze, że chyba umrze z głodu; — zachowuję te dokumenty nędzy i bohaterstwa poetów). Jakkolwiek więc nieraz trzeba tolerować słabsze utwory poetów, trudno mi jednak zrozumieć potrzebę umieszczenia w poważnym czasopiśmie wierszy dla dzieci pani Melcer. Wprawdzie Skamander posiada pod tym względem piękne tradycje (prześliczne wiersze Iłakowiczówny), ale wiersze na pozłomie „Płomyczka” napewno nie wskrzeszą tych tradycyj.

NOTY

CZYTELNIK MA GŁOS. Prawdziwy zbieg okoliczności przyczynił się do wprowadzenia nowego działu pod powyższym tytułem: list Tadeusza Peipera, uzasadniający potrzebę tego działu (patrz — odpowiedź na ankietę), i wkrótce potem list Jerzego Brockiego umieszczony w tym zeszycie. Zapraszamy naszych czytelników do nadsyłania uwag o najciekawszych utworach poetyckich. Prosimy wziąć pod rozważania tylko materiał zawarty w „Okolicy Poetów”. Musimy wprowadzić to ograniczenie ze względów praktycznych. Wydawnictwa poetyckie są tak mało rozpowszechnione, że istnieje najwyższej dziesięciu ludzi ogarniających całokształt polskiej poezji powojennej. Gdybyśmy nie wprowadzili ograniczenia, miałibyśmy materiał tak rozstrzelony, że rzadko kto mógłby wywody czytelnika zestawić z danym

utworem poetyckim. Czytelnicy zamierzający zabrać głos zechcą uważnie przeczytać artykuł Jerzego Brockiego, który do pewnego stopnia może być wzorem rzeczowości i wnikliwości. Najciekawsze uwagi w całości lub w części znajdują miejsce w „Okolicy”.

ANTONI SŁONIMSKI ułożył kilka dowcipów na temat „Okolicy” (nr. 28 Wiadomości Literackich). Najbardziej subtelny z tych dowcipów dotyczy zwrotu z wiersza Szajdaka: „Chcę wyjść poza dawne podwórko”. Genjalny dowcip Słonimskiego brzmi tak: „Ostatecznie, czemu autor chce wyjść na podwórko czy za podwórko, to jego sprawa”. Niezależnie od tego Słonimski zastanawia się, czemu „pismo to (Okolica) nieraz się krzywi na „strofkarzy”, ale na honorowem miejscu umieszcza reprezentatywnego strofkarza Leopolda Staffa”. Musimy przyznać, że nietylko Słonimski nie może zrozumieć tak prostej sprawy. W Polsce wiele się gada o potrzebie rozwoju kultury wogóle, a poeci w szczególności o rozwoju kultury poetyckiej. Ale jest to tylko gadanie. W rzeczywistości 90% poetów uważa się za wybrańców niebios i pod wpływem tej pierwotnej magii wyobraża sobie, że powinien być tylko jeden poeta (On — Genjusz) i sto tysięcy nagród państwowych i komunalnych. A my sądzimy, że w Polsce przy nieco innej kulturze społecznej (tak — społecznej) powinno być nie stu mizernych poetów, jak obecnie, lecz sto tysięcy dobrych poetów. Ci, którzy nie mogą sobie tego wyobrazić, nie rozumieją nigdy czemu prosiłłmy Staffa o otwarcie „Okolicy” i czemu Staff chętnie się na to zgodził. Słonimski twierdzi, że cechą naszego pisma, jest „przerost teorii i szumne reklamy”. Tę sprawę wyjaśnialiśmy już w numerze poprzednim. „Szumna reklama” to brzmi po warszawsku i oznacza interesowność. Wiemy, kto w prasie warszawskiej umieszcza szumne reklamy poetów, i czym taka interesowna recenzja bywa wynagradzana (patrz Czechowicza odpowiedź na ankietę). Szkoda, że Słonimski nie szukał bliżej siebie najlepszego przykładu szumnej reklamy. Bez przyjemności odpowiadamy w ten sposób Słonimskiemu. Jesteśmy pacyfistami i nie lubimy utarczek. Wolelibyśmy, by Słonimski nadesłał nam odpowiedź na ankietę. Ale czyż „Okolica” nie za niskie progi dla socjalisty scyntyficznego?

KILKA WYJAŚNIENI. Na kilka zapytań skierowanych do redakcji dajemy następujące króciutkie odpowiedzi:

1). Czemu nie odbijamy pisma na lepszym papierze? — Odp.: Gdy liczba prenumeratów zbliży się do 200, damy lepszy papier, albo zwiększymy objętość pisma.

2). Czemu nie podajemy wykazu książek i czasopism nadesłanych? — Odp.: Wszystkie książki nadesłane będą w swoim czasie recenzowane, czasopisma zaś omawiamy w stałym dziale.

3). Czy wypłacamy honorarja? — Odp.: Nie. Wszyscy nasi współpracownicy oddają nam materiał bezinteresownie. Każdy poeta, współpracujący z nami, nietylko nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia, ale dopłaca do każdego wiersza, gdyż musi ponieść koszt przesyłki pocztowej, a niejedynemu poczuwa się do obowiązku prenumerowania pisma.

4). Czy spodziewamy się rozbudzić zainteresowanie ogółu do poezji? — Odp.: W b. małym stopniu. Poezją u nas interesuje się conajwyżej jeden

człowiek na 100.000 mieszkańców, a jeden prawdziwy poeta przypada na milion. To ubóstwo kulturalne potrwa tak długo, dopóki nie będzie: a) katedr literatury współcz. w uniwersytetach, b) przedmiotu nauki o literaturze współcz. w szkołach średnich, c) zrozumienia, że do wiedzy obywatelskiej należy także wiedza o współczesnych zjawiskach literackich.

KONKURS POETYCKI. „Okolica Poetów“ ogłasza niniejszem konkurs na utwór poetycki. Szczegółowe warunki konkursu następujące:

1. Konkurs przeznaczony jest zasadniczo dla poetów młodych. Mogą wziąć w nim udział ci autorowie, którzy dotychczas nie ogłosili utworów w postaci osobno wydanej książki. Drukowanie w czasopismach nie jest przeszkodą.

2. Na konkurs można nadsyłać utwory w nieograniczonej ilości z tem jednak zastrzeżeniem, że każdy utwór powinien być zaopatrzony w osobne godło i osobną kopertę z nazwiskiem autora (patrz punkt 4.)

3. Temat utworów dowolny. Długość nie może przekraczać stu wierszy.

4. Każdy utwór należy oznaczyć krótkim godłem (nprz. „Lilja“, „Księżyc“). Do każdego utworu należy dołączyć zapieczętowaną kopertę, na której powinno być wypisane godło, a wewnątrz załączone imię, nazwisko i adres autora.

5. Rękopisy powinny być czytelne, pożądane maszynopisy. Każdy utwór należy przysłać w trzech jednobrzmiących egzemplarzach. Warunek ten jest konieczny dla ułatwienia prac sądu konkursowego, a dla autorów — wobec krótkości rękopisów — nietrudny.

6. Termin nadsyłania utworów: od 15 lipca do 1 października b. r. pod adresem: Stanisław Czernik, Ostrzeszów, woj. poznańskie.

7. Przeznacza się cztery nagrody pieniężne: I nagr. — 100 zł., II nagr. — 50 zł., III i IV nagr. — po 25 zł. Ponadto autorowie utworów specjalnie wyróżnionych otrzymają upominki książkowe lub bezpłatny abonament „Okolicy Poetów“.

8. Utwory nagrodzone i wyróżnione będą drukowane w „Okolicy poetów“ bez osobnego wynagrodzenia, gdyż wszyscy poeci drukują narazie w naszym piśmie bezinteresownie.

9. Rozstrzygnięcie konkursu zostanie ogłoszone w numerze z datą 15 grudnia, w wyjątkowych jednak okolicznościach termin ten może być przedłużony o miesiąc.

10. Skład sądu konkursowego: Juljan Tuwim, Stefan Flukowski, Stanisław Czernik.

11. Utwory nienagrodzone i niewyróżnione nie będą zwracane autorom z wyjątkiem specjalnie zastrzeżonych do zwrotu po nadesłaniu adresu i odpowiedniej ilości znaczków na koszt zwykłej lub poleconej przesyłki. Utwory specjalnie zastrzeżone do zwrotu będą przechowywane przez miesiąc od dnia ogłoszenia wyniku, w tym też czasie mogą być zwrócone.

12. Wszystkie koperty z nazwiskami autorów zostaną po zakończeniu prac sądu konkursowego zniszczone przez spalenie, w obecności i pod nadzorem notariusza, który poprzednio stwierdził nienaruszoność kopert.

13. Listy z utworami przeznaczonemi na konkurs należy odpowiednio opłacić. Listy niedostatecznie opłacone nie będą przyjmowane.

NASTĘPNY NUMER naszego pisma ukaze się dnia 15 września.